Nr. 24. Warszawa, dnia 11 Czerwca (30 Maja) 1892 r. **Rok XII**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentom półrocznym i kwartalnym przypominamy nadchodzący termin odnowienia przedpłaty.

POLITYKA.

PAPIEŻ I RZECZPOSPOLITA.

New York Herald, wyciągnąwszy na słówko jakąś „osobistość, która przyjmowała żywy udział w porozumiewaniu się katolików francuskich ze stolicą Apostolską,“ zdradził przed światem tajemnicę związku papieża z Rzeczpospolitą. Jak łatwo było przewidzieć, małżeństwo to zawarte zostało nie z miłości, ale z rozumu. Oto jego historya. Po odnowieniu potrójnego przymierza — powiada *Herald* — dowiedziano się, że w jego warunkach nietylko Niemcy, lecz także Austrya przyznała Włochom posiadanie Rzymu i dawnego państwa kościelnego. Od tej chwili Leon XIII nie mógł dłużej łudzić się. Mniemał on przedtem, że jego nacisk na katolików niemieckich podczas wyborów do sejmu Rzeszy zapewni mu poparcie cesarza niemieckiego. Rachuba ta okazała się mylną. Opuszczony przez Wilhelma, sądził, że znajdzie pomoc u Franciszka Józefa; tymczasem przekonał się, że cesarz austryacki, nie składając wizyty królowi włoskiemu, powodował się jedynie platonicznemi uczuciami dla papieża. Wówczas zawiedziony przez dwu monarchów, zwrócił się do republikańskiej Francyi, w nadziei, że zapowniwszy Rzeczpospolitej uległość swych francuskich owieczek, pozyska ją dla odzyskania władzy świeckiej. Toast kardynała Lavigerie był pierwszym krokiem w tym kierunku, pierwszym objawem woli papieża. Potem nastąpił jego list do kardynałów francuskich (3 maja) i telegram do kongresu katolickiego w Paryżu (11 maja). Kongres ten pod wrażeniem owego telegramu postanowił usunąć z programu wszelkie kwestye polityczne. Biskup Turinaz z Nancy, świeżo ukarany przez rząd czasowem cofnięciem pensyi, przygotował się do gwałtownej filipiki, ale arcybiskup paryski wraz z twórcami kongresu obrobili go w porę tak skutecznie, że zrzekł się zupełnie tego zamiaru. Zaraz 10 maja, w dniu otwarcia obrad, kierownicy kongresu według zwyczaju poprosili telegraficznie papieża o błogosławieństwo. Gdy ono wszakże drugiego dnia nie nadeszło, członkowie byli wielce zdziwieni. Tymczasem nazajutrz (12 maja) dwa dzienniki paryskie, *Temps* i *Liberté*, ogłosiły depeszę z Watykanu, która podała treść wysłanej odpowiedzi kard. Rampolli. Rzeczywiście przewodnicy kongresu otrzymali od papieża telegram, ale postanowili go zataić, gdyż czynił on błogosławieństwo zależnem od zupełnego poddania się katolików Rzeczpospolitej. Doniesienia dwu wspomnianych gazet udaremniły ten plan; nie pozostawało nic innego, jak odpowiedź papiezką ogłosić. Niektórzy z hetmanów „walczącego kościoła“ ukorzyli się przed wolą Leona XIII i oświadczyli gotowość połączenia się z Rzeczpospolitą „nietylko ustami, lecz i sumieniem“; inni natomiast, a zwłaszcza zarząd „Union de la France chrétienne,“ ulegli tylko zewnętrznie. Rozwiązali oni to stowarzyszenie, ale przeprowadzili uchwałę, ażeby nie odpowiadać na depeszę Leona XIII; nadto podczas biesiady członków kongresu, po nabożeństwie w kościele na Montmartre, nie wniesiono toastu na cześć papieża.

Zaczęto mówić o rozdziale katolików francuskich na dwa stronnictwa, z których jedno stanowiłoby rodzaj odszczepieńców względem Watykanu. Tak daleko dąsy zagniewanych nie pójdą, tem bardziej, że pobudki, które skłoniły Leona XIII do roztoczenia swych skrzydeł nad Rzeczpospolitą francuską, jak wszelkie względy natury politycznej, nie mają żadnej trwałości i jutro, przy zmianie stosunków, mogą zniknąć doszczętnie. W tym zaś wypadku jest to jeszcze możliwsze, niż w wielu innych. Trudno rozumowi pogodzić się z naiwnością, wierzącą we wskrzeszenie państwa kościelnego; jeżeli jednak obecny papież oddaje się temu dziwnemu złudzeniu, to chyba jeszcze za swego krótkiego życia wyleczy się zupełnie. Poprostu niepodobna wyobrazić sobie takiej możliwości, w którejby Rzeczpospolita francuska zechciała rozbić Włochy i przywrócić władzę świecką papieżowi. Jej obecna niechęć do sąsiadów może urość w natężeniu, może doprowadzić do ostrych zatargów, a nawet do starć orężnych, lecz zapewne nigdy nie będą one miały na celu odzyskania berła „ojca św.“ Musiałby chyba porządek świata ulec zupełnemu przewrotowi, a rozwój cywilizacyi cofnąć się wstecz o kilka wieków, musiałoby dokonać się coś, co nie leży w obrębie logiki i przewidywań ludzkich.

A nawet pomimo „dobrowolnego więzienia“ w Watykanie, pomimo przypominania postradanych praw do tronu świeckiego, pomimo wytaczania przegranej sprawy przed rozmaite instancye, pomimo zaciętości w uporze, nie przypuszczamy, ażeby Leon XIII lub którykolwiek z jego następców poważnie wierzył w odzyskanie państwa kościelnego. Będą oni raczej udawali tę wiarę, gdyż ona daje im nietylko urok, ale pewnego rodzaju siłę, którą by, poddawszy się konieczności, w znacznej mierze utracili. Wyobraźmy sobie papieża, któryby pogodził się z losem, poprzestał na władzy religijnej, nie podtrzymywał swoich pretensyj politycznych i nie szukał dla nich poparcia — odrazu straciłby znaczenie dla dyplomacyi, nie mówionoby o nim po za owczarnią wiernych. I dlatego wnosić wolno, że Leon XIII, sprzymierzając się z rozmaitemi mocarstwami, czyni to nie tyle w mniemaniu, że którekolwiek z nich wypowie wojnę Włochom o Rzym, ile że chce być sojusznikiem cenionym, a więc posiadać wpływ na losy świata. Jeżeli oddaje usługi Francyi, to naturalnie budzi pragnienie w jej przeciwnikach odciągnięcia go od niej za jakąś ofiarę, na której zyska.

To manewrowanie międzynarodowe jest doskonałym interesem politycznym i pozwala utrzymać się w roli czynnika ważnego, a zatem pożądanego i licytowanego.

Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan wraz z Następcą Tronu przybył d. 8 b. m. o godz. 10 m. 15 rano z Kopenhagi do portu w Kiel, gdzie był powitany przez cesarza niemieckiego. Obaj Monarchowie zwiedzili roboty około kanału, mającego połączyć morze Północne z Baltyckiem. Tegoż dnia po wspólnym obiedzie o god. 9 m. 30 wieczorem Najjaśniejszy Pan raczył odjechać na statku „Gwiazda polarna."

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Dnia 6 b. m. Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę Konstanty Konstantynowicz przybył niespodziewanie do Nancy. Pułkownik Chamoin, ze świty Carnota, oczekiwał na dworcu W. Księcia w otoczeniu licznego grona studentów, którzy powitali go okrzykami: „Niech żyje Rosya!" i zaśpiewali hymn ruski. Jego Cesarska Wysokość Wielki Książę udał się do gmachu prefektury, dokąd przybył Carnot. Po krótkiej rozmowie, śród nieustannych okrzyków tłumu, odjechał z powrotem do Contrexéville.

Odwiedziny te, ze względu na porę i miejsce, nabrały w oczach prasy europejskiej wysokiego znaczenia politycznego. Stwierdziły bowiem fakt niewzruszonej przyjaźni rusko-francuskiej i to podczas uroczystości, na którą Niemcy spoglądały bardzo krzywem okiem. Przebieg jej wszakże odbył się prawidłowo, bez żadnych szmermeli, puszczanych uprzednio w stronę sąsiadów. Rząd francuski wszelkiemi siłami starał się zapobiedz wyzwaniom, zaczepkom lub wybuchom patryotycznym ze strony młodzieży. Naturalnie nie obyło się bez znaczących półsłówek, a nawet całych słów, nie padło ich jednak tyle, ażeby niemcy potrzebowali uruchomiać swoje korpusy. Do podniesienia temperatury pomogli nieco „sokołowie" czescy, którzy przyjechali na uroczystość studencką. Carnot w przemowie swojej nie wyszedł po za granice najzwyklejszych ogólników, zapewniwszy, że Francya kroczy po drodze postępu, trwając niewzruszenie w swej polityce godności i spokoju, której zawdzięcza cenne przyjaźnie, że zachowa nadal uznanie i szacunek świata — itd.

Mimo tego umiarkowania i braku powodów do rozdrażnienia, wypadki ostatniego tygodnia zajmą z pewnością na długo uwagę prasy niemieckiej. Będzie ona miała teraz o czem myśleć i o czem pisać. Jakie zaś z nich wnioski wyciągnie dla swoich interesów — zobaczymy niebawem.

Przedmiot ten usunie z pewnością na dalszy plan sprawę broszury Ahlwardta, która była w ostatnich czasach jedyną wiązką kłaków do zatykania dziur w kolumnach gazet. Dalsze oświadczenia rządu pruskiego stwierdziły z większą jeszcze mocą, że autor „odkryć" jest łgarzem, niemającym nic do stracenia. Chciał je naprzód sprzedać, a gdy nie chciano kupić, ogłosił. Zanim stanie przed sądem w tej sprawie, za inną, mianowicie za oszustwo, wsadzono go do kozy. Jest to więc gorszy brudas, niż przypuszczaliśmy.

Węgrzy z wielką pompą przygotowali się na obchód uroczystości jubileuszowej cesarza austryackiego a swego króla. Naród ten o bardzo słabej sile cywilizacyjnej, a nawet rozrodczej, wygasający i prawie bezczynny w ogólnej kulturze, z tem większą natarczywością stara się ubezpieczyć swą odrębność ze strony politycznej. Do jakiego stopnia nie przestaje działać w tym kierunku, świadczy drobny, ale charakterystyczny fakt, że jednemu z dzienników postanowiono wytoczyć proces za używanie w tytule nazwy: „Austrya" zamiast „Austro-Węgry." Święto jubileuszowe ma jeszcze bardziej uświadomić wszystkim to, że monarchia Habsburgów składa się z dwu odrębnych połów, że Węgry są państwem samodzielnem, posiadają własnego króla i t. d.

Nareszcie skończył się prawdziwy, czy zmyślony romans, bohaterkę zgniótł twardy los i — następca tronu rumuńskiego wyrzekł się panny Vacarescu i ma zostać małżonkiem księżny Edynburskiej. Rumunowie odetchnęli.

Zarządzający wydziałem spraw zagranicznych w rządzie Stanów Zjednoczonych Blaine podał się do dymisyi.

Według ostatnich doniesień, Emin basza umarł w Afryce. Tylko że ci podróżnicy afrykańscy nie raz umierają i zmartwychwstają.

BADANIA NAUKOWE.

SKUP SIŁ PRZYRODY.

Jak wiadomo, H. George stawia wzrost nędzy w ścisłym związku z rozwielmożnianiem się postępu, a źródło tej zależności wzajemnej widzi w tem, iż istniejące darmo siły przyrody, jak wydajność gruntów, bogactwo pokładów i in. — znalazły się w posiadaniu indywidualnem. Publicysta amerykański bezwarunkowo się myli, kiedy z tej okoliczności usiłuje wyprowadzić całe dzisiejsze niedomaganie społeczne. Atoli teorya jego, dziecko stosunków społecznych Nowego Świata, wybornie odzwierciadla ów przełom, jaki w ostatnich czasach odbył się na ziemi Stanów Zjednoczonych. Przeprowadzenie dróg żelaznych przez obszary niekiedy najzupełniej dziewicze, rzucenie się olbrzymiej fali ludzkiej ku terytoryom „dalekiego zachodu," ukazywanie się miast pod wpływem tego potoku ludności, który płynął wzdłuż nowozbudowanych kolei w dalekie i puste ustronia — wszystko to spowodowało, że odłogiem dotychczas leżące i żadnej ceny rynkowej niemające siły przyrody zaczęły szybko nabierać wartości, wywołując olbrzymi wzrost fortun prywatnych — nie dzięki pracy posiadaczów, lecz szczęśliwemu zbiegowi stosunków społecznych. Ktoś osiedlał się w pustkowiu, mając dokoła siebie przestrzenie, pozbawione ceny rynkowej. Ale pod działaniem wzmiankowanych czynników — pustkowie zamieniało się na siedzibę ludzką, niekiedy bardzo znacznych rozmiarów, a rzecz bez wartości zaczynała przynosić obfite dochody. Chyba nigdy w dziejach ludzkich tak jasno nie błysnęła prawda, że wartość gruntów jest tylko skapitalizowaną rentą ziemską, oraz że wielkość tej renty jest dziełem postępu ekonomicznego i że rolnik w każdym zakątku globu ziemskiego, któremu nie grozi ruina,

3)

ARNE GARBORG.

ZNUŻONE DUSZE.

(Przekład z upoważnienia autora).

...Czy istotnie potrafiłbym nie szukać jej towarzystwa, wiedząc, że jest gdzieś w pobliżu?..

Pytanie niedorzeczne. Niestety, niema nawet możności szukania pokusy...

(Mimo to nie kładę się żadnego wieczoru, nie pomarzywszy wprzód — przez dwie godziny przynajmniej — o jednem i tem samem śmiesznem przywidzeniu, że w szalonej swojej miłości pospieszyła za mną, wywiedziała się, gdzie mieszkam, i oto nagle stanęła pod oknem).

Niech cię Bóg pocieszy, biedny, stary kawalerze.

* * *

Ta panna Berner, którą czasami spotykam, jest mądrzejsza, aniżeli wydaje się z pozoru. Jej gładka poprawność, pospolitość bez zarzutu — zwodzą; podczas tego długiego okresu geniuszów wmówiliśmy jakoś w siebie, że człowiek, którego wychowanie nie wykazuje pewnych braków, żadnej nie może mieć wartości.

Dziś wieczorem sąsiadowałem z nią przy stole, na zebraniu u mego kolegi i duchowego brata, krytyka-dziennikarza, który zarazem dopuszcza się czasem grzechów poetyckich. Panna Berner złożyła dowody niezwykłej inteligencyi pod względem gastronomicznym. Mówiliśmy przez trzy kwadranse, w sposób prawdziwie europejski, o jedzeniu. Różne bigosy, ostrygi w tej lub innej formie, homar, nowy sos angielski itp. Panna Berner każdy z tych tematów obrabiała ze znakomitą znajomością rzeczy. Tem wzbudziła moje zajęcie — kobiety wogóle nie interesują się jedzeniem — i zacząłem mówić z nią o miłości. Panna Berner wytrzymała próbę ze stopniem: „niewygodna;" głosowała za sprawą małżeństw konwencyonalnych przeciw małżeństwu z miłości, w sposób pełen talentu, a zarazem dyskretnie, bez żadnej demonstracyi, nie zarzucając wędki na grzeczne protesty.

— Przy małżeństwie konwencyonalnem jest przecież daleko mniej ryzyka! — mówiła. Jeżeli strony nie godzą się, jest źle, ale nie niebezpiecznie; z zupełnym spokojem można nakłonić się do tego, aby żyć, jak inni znajomi, którzy razem siadają do stołu. Tymczasem nieraz zdarza się, że taka para poweźmie wzajem dla siebie sympatyę, a wtedy małżeństwo staje się przyjemną niespodzianką, podczas gdy w wypadkach miłości częstokroć — niespodzianką nieprzyjemną.

Odrzekłem, że dla inteligentnych małżeństw z rozumu mam rzeczywiście uznanie, że jednak zawsze uważałem za objaw dodatni, jeżeli względy rozumowe łączyły się z sympatyą... była to moja danina dla sentymentalności moralnej.

— Pani może przyznajesz słuszność starym, którzy twierdzą, że stosunki stanu, majątku i wykształcenia koniecznie muszą być w porządku, jeżeli miłość ma być czemś, co później „samo z siebie przychodzi."

— Starzy zawsze mają racyę — zauważyła panna Berner z uśmiechem.

— No, nie zawsze można polegać na tem, że miłość „przyjdzie"; lecz pani prawdopodobnie chcesz powiedzieć, że ludzie wykształceni od biedy i bez miłości obejść się mogą.

— Muszą — nieraz.

W końcu czułem się zniewolony zapytać ją, czy też w ukryciu nie pracuje nad jakąś powieścią; uważam bowiem, że zebrała spostrzeżenia, może doświadczenia (ma lat 28), myśli ma uporządkowane i konsekwentnie przeprowadzone.

— Należy pani zresztą do niewielkiej liczby osób, któreby do autorstwa miały prawo — rzekłem grzecznie; jednak przyznaję, że fakt, iż pani bazgraniną głowy sobie nie zawracasz, szacunku mego dla niej nie zmniejsza.

Uśmiechnęła się. Uśmiech ma miły, inteligentny, cichy, bez szelestu — jak mówi niemiec.

...To byłaby żona dla mnie.

* * *

zgarnia w ten sposób owoce wysiłku ogólno-społecznego na swoją indywidualną korzyść. Dzisiaj, po tym okresie przełomowym w Związku północno-amerykańskim, zresztą dalekim jeszcze od końca, pozostała jedynie teorya ekonomiczna, połączona z imieniem George'a, oraz z pewnym wnioskiem praktycznym. Jest ona, jak zaznaczyliśmy, w swoim całokształcie błędną. Jednak wnioski praktyczne, z niej wywiedzione, doznały nader silnego spopularyzowania i zyskały wpływ olbrzymi. Widzimy to właśnie na jednej kwestyi, świeżo wysuniętej przez nowoczesny rozwój techniczny. Istnieją dzisiaj na globie ziemskim pewne siły przyrody, które do ostatniej chwili w oczach praktycznego rycerza zysków przedsiębierczych nie posiadały najmniejszej „wartości.“ Mamy tu na myśli owe olbrzymie zbiorniki „energii kinetycznej,“ jakiemi są zwłaszcza wartkie potoki górskie i wodospady. Wprawdzie prąd rzeczny zużytkowano tu i ówdzie jako motor, atoli w stopniu bardzo nieznacznym. Weźmy np. Szwajcaryę. Z jednej strony pomimo względnie dość znacznego rozwoju produkcyi, z drugiej zaś obfitości prądów rzecznych, cały przemysł niemal opiera się tam na dowożonym z zagranicy węglu kamiennym. W innych krajach górskich, nieużytkowywanie energii kinetycznej, zawartej w spadku wody, jest jeszcze znaczniejsze. I nie dziw. Najbardziej wartkie części biegu rzecznego znajdują się zwykle w warunkach, zupełnie uniemożliwiających korzystanie z nagromadzonej tutaj siły żywej. Tylko wtedy można spodziewać się zużytkowania wodospadów itd., kiedy technice uda się przekształcić występującą w nich formę energii kinetycznej na jakąś inną, którą możnaby tanim kosztem przenosić w miejsca, pełne zgiełku przemysłowego. Właśnie doba dzisiejsza może się pochwalić, iż rozwiązała to zadanie techniczne pierwszorzędnego znaczenia. Zgóry można się domyślić, iż różczką czarodziejską, która pozwala to uczynić i nieprzynoszące żadnej renty siły przyrody zamienia na złotodajną dla kapitałów kopalnię zysków, jest elektryczność. Ostatnie dziesięciolecie dokonało w tej mierze olbrzymiego przewrotu. Niedawne to jeszcze czasy, kiedy mniemano niemal powszechnie, iż elektryczność nadaje się jedynie do spełniania tak delikatnych czynności, jak telegrafowanie lub coś podobnego. Nawet ludzie, którzy stoją dzisiaj na czele olbrzymich zakładów, wyrabiających różne przyrządy elektryczne do praktycznego zastosowania w produkcyi, nie uprzytomniali sobie wtedy tego przewrotu w zakresie motorów, jaki może elektryczność sprowadzić. L. Aron, którego praca w jednym z tygodników ekonomicznych niemieckich dała nam powód do niniejszego artykułu, przytacza w tej mierze ciekawe zdanie Siemensa, wypowiedziane w 1879 na zjeździe przyrodników niemieckich. „Nie potrzeba zbyt śmiałego polotu wyobraźni, ażeby przedstawić sobie czas, kiedy ludzkość żywą siłę, jaką promienie słoneczne zlewają na ziemię w niezmierzonej ilości i jaka spoczywa do naszego rozporządzenia częściowo w powiewie wiatru, częściowo zaś w spadku wody, za pomocą prądu elektrycznego zastosuje do wytwarzania potrzebnego nam materyału palnego i w ten sposób pozwoli nam obyć się bez pokładów węgla, tak troskliwie nagromadzonych przez przyrodę dla okresu dziecięcego ludzkości.“ Siemens miał na myśli, iż za pomocą prądu elektrycznego da się zużytkować siłę żywą globu ziemskiego dla rozłożenia wody na jej części składowe: wodor i tlen, i że pozyskany tą drogą wodor stanie się materyałem palnym przyszłości. Otóż ten dzisiaj tak potężny elektrotechnik przed niespełna laty 13 ani przeczuwał jeszcze całego przełomu, wobec którego dzisiaj stoimy! Kiedy Edison w 1881 na wystawie paryskiej okazał motor elektryczny o sile 80 koni, spoglądano z podziwem na ów przyrząd. Wystawa zaś frankfurcka w 1891 zna już podobne przyrządy o sile 100, 300, 500, a nawet 600 koni. Rozwiązano zatem zadanie techniczne zamiany prądu elektrycznego na motor znacznego napięcia. Jednocześnie załatwiono się z drugą częścią zadania, ze znalezieniem tanich sposobów masowego wytwarzania elektryczności na cele produkcyi. Próby przenoszenia elektryczności, przedsiębrane podczas wystawy monachijskiej w r. 1882, wypadły jeszcze bardzo niepomyślnie — okazały się one bardzo kosztownemi w porównaniu z otrzymanym rezultatem. Tymczasem na wspomnianej już wystawie frankfurckiej wypadły one zgoła inaczej. Przeprowadzono wtedy po 3 drutach grubości zwykłych telegraficznych elektryczność na przestrzeni 175 kilometrów bez strat poważniejszych, zastosowano ją do oświetlenia 1000 lamp i działania jako motor przy wodotrysku 10-metrowej wysokości. Właśnie dzięki powyższym udoskonaleniom technicznym, staje się możliwe zużytkowanie siły żywej potoków górskich i wodospadów na wielką skalę. Za pomocą nader prostej a taniej maszyneryi możemy przekształcać energię kinetyczną prądu na miejscu w elektryczność, stwarzając w ten sposób olbrzymie jej zbiorniki, stąd za pośrednictwem urządzeń, równie mało kosztownych, przeprowadzać ją do innych zbiorników, znajdujących się na bardzo znacznej odległości, i w ciągu dalszym rozdzielać pomiędzy różne cele techniczne: oświetlanie fabryk, poruszanie machin itd. I otóż na tym podkładzie technicznym zjawia się szczególna kwestya prawno-społeczna.

Nie kusimy się o przepowiednie, w jak blizkiej lub dalekiej przyszłości cywilizowane części globu ziemskiego pokryją się sieciami drutów, przeprowadzającemi elektryczność z jednego miejsca na inne, lub zbiornikami, gromadzącymi w tym lub owym zakątku sprowadzoną z okolic górskich i zamienioną na inną postać energię kinetyczną prądu. Zaznaczmy tylko, że sprawa ta, mało znana ogółowi, w kołach kapitalistycznych zaczęła już gorączkować żądne zysków dusze. Już zawczasu kapitał przemysłowa o zmonopolizowaniu na swoją prywatną korzyść tych sił, które przyroda bezpłatnie nagromadziła w wartkim prądzie potoków górskich. Aron stwierdza, że w Niemczech ze wszystkich stron słychać o planach ze strony pojedynczych przedsiębiorców, jako też całych spółek akcyjnych, zmierzających zawczasu do zakupna strumieni, albo prawa zużytkowania ich energii kinetycznej. Między innemi przytacza on ustęp z pewnej gazety strasburskiej: „Utworzyła się już w Badeńskiem spółka dla zakupu możliwie wszystkich spadków wody, które w niedalekiej przyszłości mogą zostać zużyte do przenoszenia siły elektrycznej. Między innemi wymieniono mi już, jako sprzedane, niektóre spadki wody, położone w poprzecznych dolinach, zbiegających się do koryta Kinzigа. Nasze góry posiadają mnóstwo wodospadów, zupełnie nieznanych szerszej publiczności. Takie boczne potoki, których możemy wyliczyć tuzinami, płyną na znacznej przestrzeni ze spadkiem 40 procentów...“

(Hardanger).

Trochę romantyczności dla odmiany jednak dobrze człowiekowi robi — sprawia ulgę, uspokaja. Staje się on cichym, zamyślonym, religijnym — panteistą. Dusza jego wtedy — to niby fjord wodą zalany o podwójnej cudownej głębi... pozornie błękitny jak niebo, czysty jak lazur, uśmiechnięty, lecz na dnie ciemny, ponury, czarny, kryjący duchy morza, straszydła wodne, topielców. W tej oszałamiającej podwójnej toni przeglądają się zielone girlandy, liście i strome spadki skał — wśród głębokiego, marzycielskiego milczenia. Tu i owdzie czółno powolnym ruchem przetnie spokojną, zdradziecką powierzchnię.

Tu, na tym pagórku siedzieć mogę godzinami i patrzeć, patrzeć i zapomnieć o myśleniu; a świat rozbrzmiewa próżnią, staje się pięknym, pustym błyskiem, a więc właściwie — nią. Powoli, niby owad, czółno ślizga się w gorącym blasku słońca po fjordzie, w niem zaś siedzi stworzenie ludzkie, z głową pełną drobnych trosk, które poważnie do serca sobie bierze.

Cisza. Cisza. Brzęk bąków — szmer strumyka — migotanie świateł i drżące blaski — takt leniwych uderzeń wiosła — spokój stuleci. Czyż nie dziwno, że wszystko to razem jest w gruncie rzeczy tylko tlenem i wodorem, węglem i azotem, HO_2 i HO_4...

* * *

Taki lub inny wstrętny Mr. Smith przybył tu wczoraj własnym jachtem z całym domem i rodziną, z wielką i małą trzodą i najął cały hotel.

Mnie, który jestem sobie tylko zupełnie prostym norwegczykiem, którego z tego powodu wciąż naturalnie traktują z wyszukanem lekceważeniem, wszyscy — tak (szwedzki) właściciel hotelu, jak i jego (norwescy) niewolnicy — jedyną uprzejmą dla mnie osobą była mała, niemożliwie już wyniszczona kelnerka z Bergen... Więc poprostu odebrano mi mój pokój, prosząc, żebym zechciał zamieszkać wspólnie z innym norwegczykiem — nędzną duszą kandydacką, zdaje mi się, z Chrystyanii.

Zaczynają się świetności życia turysty. „Wspaniałość Norwegii“ nowy jej rodzaj — w tym samym „cudnie pięknym Hardangrze“!

Kandydat jest idyotą. Mówi, że „po dyalekcie moim poznaje,“ iż jestem bergenczykiem. No, może czasem, kiedy się zirytuję.

A zirytowałem się.

— Tak, tak się to dzieje! — rzekłem. Mr. Smith i dobrodziej Lundström — wyrzucają nas poprostu z naszego własnego domu. Stara Norwegia staje się letnią lecznicą dla angielskich węglarzy; brat Lundström i pan Schultze-Müller budują hotele i zagarniają zyski; „lud norwegski“ staje się kelnerem, a „kobieta norwegska“ — zabawką europejskich turystów... Poczciwy obywatel Norwegii, który wybiera się pieszo, żeby, idąc za pięknym pociągiem serca, obejrzeć doliny Norwegii — nie znajdzie poprostu mieszkania, chyba że umie mówić po angielsku. O wspaniałości norwegska O postępie kraju pod błogosławieństwem rządów narodu! W całym kraju istnieje tylko jedno stworzenie, które nie pojmuje, do czego to wszystko zdąża — stworzeniem tem jest storthing (sejm). Stan chłopski zjeżdża z szalonym pośpiechem po krzywej powierzchni hipotek — w dół; cudzoziemcy rozkupują ziemię, szmat za szmatem, wszystko, co ma jakąś wartość: rowy, porty, place, wodospady; storthing zasiada, przygląda i raduje się, że „pieniądze wpływają“ — za pół wieku cała nasza mała komedya, która zowie się „państwem norwegskiem,“ będzie już tylko bajką! I patrzeć tu na seminarzystów, co chodzą i deklamują o „przyszłości Norwegii“! Tak, tak.

— Tak jest — odrzekł kandydat, z ostrożnością rozpoczynającego swoją karyerę urzędnika; rozwój życia podróżniczego ma i swoje ciemne strony. Wybaczy pan, ale po dyalekcie pańskim poznaję, że jesteś pan bergenczykiem...

— Odjeżdżam jutro parowcem.

* * *

(Bergen).

Ostatecznie znowu się hulało... co prawda nudy. Dzisiaj katzenjammer — miałbym humor wisielca... gdyby Kuryer poranny nie przypomniał, że to już koniec sierpnia. Czuję kłucia radości w piersi... wreszcie za parę dni będę mógł jechać.

Ale... No, naturalnie.

Słowem, kapitał, zawsze czynny, ilekroć węszy zyski, nie zasypia gruszek w popiele. Usiłuje on już zawczasu zmonopolizować odpowiednie siły przyrody, a jeżeli uda mu się to uczynić, w przyszłości może powołać do życia dotychczas nieznane stosunki monopolistyczne. Przedsiębiorcy i rolnicy amerykańscy uskarżają się dzisiaj gorzko na monopol przewozowy i żądają upaństwowienia środków komunikacyjnych, jako jedynej tamy przeciwko wyzyskowi ze strony możnowładców kolejowych. Wyobraźmy sobie teraz, że również w prywatnem ręku znajduje się motor elektryczny i że prywatni przedsiębiorcy są zmuszeni przyjmować z góry dyktowane im warunki ze strony monopolistów, którzy zagarnęli na swoją własność energię kinetyczną strumieni górskich.

Atoli po za sprawą świata przedsiębierczego, względnie obojętną, są jeszcze inne względy, przemawiające przeciwko zmonopolizowaniu energii kinetycznej potoków. Naprzód społeczeństwo, zamiast pozbawiać się pokaźnego źródła dochodów, może obrócić je na korzyść ogólną; powtóre, przenoszenie elektryczności winno wywołać mnóstwo zaburzeń i niesnasek prawnych, pochodzących stąd, iż przebiegające w bliskości siebie prądy elektryczne nie zachowują się nawzajem obojętnie, lecz oddziaływają w pewien sposób. Jedynie państwo, postępując na całym swym obszarze według planu jednolitego, może temu zapobiedz. Słowem, interes zarówno ogólno-społeczny, jako też warstwy przemysłowej każe przeszkodzić możliwemu zmonopolizowaniu żywej siły potoków górskich na rzecz prywatną. Kwestya ta właśnie poczyna żywo zajmować opinię publiczną, a wpływ doktryny Georgeowskiej — gdyż imię jego jedynie bywa wymieniane w tym wypadku— jest o tyle znaczny, że teoretycznie rozstrzyga się samą rzecz zawsze na korzyść unarodowienia sił przyrody. Sprawa ta budzi żywe zajęcie zwłaszcza w Szwajcaryi, co jest rzeczą zgoła zrozumiałą. Istnieje tutaj „Związek reformy ziemskiej,“ złożony zresztą głównie z żywiołów miejsko-przedsiębierczych a stojący na gruncie poglądów George'a. Prowadzi on teraz gorliwą agitacyę w kierunku upaństwowienia potoków górskich, a jego zachowanie zyskało poparcie prawie u wszystkich organów prasy. Świeżo podał on rządowi związkowemu odpowiednią petycyę. „Ogół nie zużytkowanych jeszcze dotąd sił wód szwajcarskich (czytamy w niej) stanowi własność całego związku. Eksploatacya ich oraz zużytkowanie za pomocą elektryczności, ciśnienia itd. winny stać się zadaniem związku. Prawo związkowe winno wyznaczyć sposób urzeczywistnienia tego monopolu, oraz podziału dochodów.“ Petycya zaznacza, iż jeśli państwo nie pospieszy, wody zostaną zmonopolizowane prywatnie, a dochód, który mógłby być zużyty na cele ogólno-społeczne, będzie szedł w postaci dywidendy do kieszeni akcyonaryuszów, rozproszonych po całym świecie. Szwajcarska rada związkowa przyjęła petycyę bardzo przychylnie i rozesłała w tej sprawie odpowiedni kwestyonaryusz do rządów kantonalnych. Pomiędzy zapytaniami spotykamy następujące: Do kogo (kantonu, gminy lub osoby prywatnej) należy prawo nieograniczone własności istniejących tutaj spadków wody? Ile ich przeszło w ręce prywatne drogą koncesyi lub jakąkolwiek inną? Czy należy się obawiać, ażeby przy dzisiejszym stanie rzeczy zupełne i racyonalne zużytkowania siły żywej potoków i wyprowadzenie jej w postaci elektryczności po za granice kantonu było sprawą niemożliwą lub też, zamiast przynosić pożytek dla dobrobytu ogólnego, nie stało się jedynie źródłem spekulacyi i zbogacenia prywatnego? Czy będzie to korzystnem, jeśli monopol zostanie przeprowadzony jako jeden, na przestrzeni całego związku?

Inne pytania pomijamy; przytoczyliśmy tylko te, które nam dają pojęcie o duchu, panującym w kwestyonaryuszu. Rządy kantonalne pospieszyły już z odpowiedzią. Większość zgadza się na publiczny monopol energii kinetycznej strumieni, atoli w zaściankowym obrębie swojego kantonu. Jedynie rząd S. Galleński stanął na gruncie ogólno-związkowym, słusznie zaznaczacząjąc, iż bieg strumieni nie zna zaściankowo - kantonalnych patryotyzmów i nie przyjmuje granic administracyjnych, oraz że różnorodność przepisów i ustaw w zakresie tego samego potoku jedynie położy tamę racyonalnemu wyzyskowi siły jego. „Jeżeli związek nie zmonopolizuje wód, albo nie uczynią tego pojedyncze kantony — czytamy między innemi w odpowiedzi władz S. Galleńskich — wtedy z góry można powiedzieć, że spekulacya prywatna owładnie tą ważną cząstką naszego bogactwa narodowego ze szkodą bardzo znaczną dla niego.“ W Niemczech widzimy podobnie pewne próby zwrócenia uwagi publicznej na konieczność zapobieżenia monolizacyi prywatnej energii kinetycznej, nagromadzonej w strumieniach górskich. Teoretycznie sprawa jest rozstrzygnięta. Jeżeli — jak słusznie twierdzi przytaczany już kilkakrotnie przez nas autor — jakikolwiek polityk społeczny postawi sobie pytanie, czy te siły przyrody winny zostać dobytkiem ogólno-społecznym lub też przejść w ręce monopolistów prywatnych, a ani chwili nie będzie wahał się z odpowiedzią. Atoli praktyka nie zawsze postępuje według rad teoryi...

Na razie nie chodzi nam o przyszłość elektrotechniki. Mamy na względzie przedewszystkiem zwrot w poglądach prawno-ekonomicznych. Przed laty 10, 15, z wyjątkiem nielicznych umysłów, nikt nie ośmieliłby się żądać unarodowienia energii kinetycznej strumieni. Dzisiaj kapitaliści, usiłujący ją zmonopolizować, działają w cichości, teorya oświadcza się przeciwko nim, wykazując ujemne skutki monopolizacyi sił przyrody i powołując się na George'a, państwo przyjmuje odpowiednią postawę. Fakt ten dowodzi, jak silnemu przełomowi uległa myśl ludzka w zakresie niektórych poglądów ekonomicznych. Prywatny rabunek skarbów przyrody przestał uchodzić za jedynie możliwą formę posiadania i produkowania, a co więcej, zaczął być uważany za to, czem jest — za ogałacanie społeczeństwa z przynależnych mu dochodów.

K. R. Ż.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA NIEMIECKA.

Literatura o literaturze. — „Merlin“ Heysego. — Plebiscyt literacki.

Beletrystyka niemiecka zaczyna wydawać w ostatnim czasie owoce osobliwszego rodzaju. Czy wyobrażacie sobie zoologię, która zamiast o zwierzętach prawiłaby nam o zoologach samych? Otóż podobnego ro-

---

Rozumie się. Jako tako jestem już „odstawiony.“ Żadnego włóczenia więcej, ani śladu. Będę absolutnym rozsądkiem. A jednak...

Już jazda!

V.

Ch....ia, 20 (albo dokładniej: 21) sierp.

Dziwny człowiek, ten Jerzy Jonatan!

Co za myśl: założyć sobie galeryę obrazów!

Tak, gdyby jeszcze miał zmysł do malarstwa! Ale chwali się tem, że nie umie odróżnić Thaulowa od Werenskjolda. Rysunki planów budowlanych — to jedyne, co lubię; bo to sam umiem zrobić! — powiada Jonatan.

Tymczasem jednak zakłada sobie galeryę. To daje człowiekowi pewne tło, *une folie*, pewne stanowisko — mówi. Człowiek, o którym wiadomo, że posiada 50 obrazów, jest tutaj dziwem, unikatem, zjawiskiem muiej więcej takiem, jak białoskóry pośród czerwonoskórych. Kto zaś chce się w życiu wznieść, musi przedewszystkiem wzbudzić dla siebie podziw ludzi, wśród których żyje. Należy stworzyć sobie nimb. Pieniądze, które idą na ten humbug, rentować będą dobrze.

Odpowiadam mu, że nimb taki odstraszy raczej czerwonoskórych. Będą go poważali, ale bać go się będą. Uchodzić będzie za coś artystycznego, literackiego, cygańskiego, za coś niepraktycznego; bo i jakże, u kata, na sprawach kas jałmużniczych, na istocie kloak może się rozumieć ktoś, kto ma w myśli coś tak transcendentalnego, jak sztuka!

Jak zwykle, wzrusza ramionami.

— Patryotyczna strona tego interesu wygra — powiada.

Strona patryotyczna? No, naturalnie, to dobrze, jeżeli jest ktoś, co od czasu do czasu rzuci artystom kilka papierków stukoronowych...

— Powiem panu coś — rzeknie Jonatan na seryo. Przyjdzie czas, kiedy Europa napływać zacznie do Chrystyanii, aby widzieć „the norvegians,“ zupełnie tak samo, jak dziś napływa do Italii, aby widzieć florentczyków. Na tem hurtownicy zarobią, a wkrótce już oni sami stan rzeczy zrozumieją.

Wzruszam ramionami.

....Odkrył dzisiaj uroczyście — w obecności d-ra Kraale, malarza Blytt'a i mojej — ostatnio zakupiony obraz,... gotów jestem prawie myśleć, że zakupił go ze względu na mnie. Wie przecież dobrze, że ona była „dawniejszą“ moją miłością! Nie jest to zresztą portret. Malował to jej ojciec, w czasie przed jej weselem. Pod względem malarskim ciekawym szczegółem obrazu jest delikatne traktowanie światła — albo cienia — jeżeli kto chce, ja jednak nie widziałem nic, prócz niej, niej, mojej niegdyś tak gorąco ukochanej Elmy. Stoi w głębi i wygląda oknem. Cudownie miękko odbija ona od bladego, szarego — szarawo-białego (kolor muru) światła, upadającego z zewnątrz. Poznałem ją w każdej linii. Mała, charakterystyczna główka, z tymi ciężkimi, z tyłu spiętymi czerwonawo-brunatnymi włosami, ma ten sam wdzięczny ruch i to samo mało, jakby wypatrujące coś pochylenie w górę; matowo-brunatna szyja ze sznurem korali wygląda delikatnie z półcienia; z pod bujnej fali włosów wyziera ciekawie mało zaróżowione uszko, z jakąś trochę cygańską ozdobą; drobne, dumne ramiona i drobne, lecz dobrze zmodelowane plecy okrywa bordo adamaszkowy szlafroczek; dolna część jest troszeczkę za krótka. Zrobiło mi się słabo; ale to wnet przeszło. Ona stanowi rozdział zamknięty, niestety.

Wtedy, kiedy oddaliła się i wyszła za tego obrzydliwego garbusa — jakośmy go tu nazywali? Piotr Tordenskjold — malarz „od wody“ — wtedy całe moje zakochanie zniknęło, jakby zmyte. Pomyślcć ją sobie splamioną jego pocałunkami, brr, to więcej niż dosyć!..

...Byłem strasznym idyotą! Uczyniła to pewnie po to tylko, aby mnie rozgniewać. Wybranym jej byłem pewnie ja. I doprowadziłem ją do rozpaczy przez różne głupstwa i brak wychowania—ach! Ją powinienem ja był dostać! Kiedy wtedy pozwoliłem, aby szczęście przefrunęło tak obok mnie... ha, na tem właściwie spełnił się i mój los.

Co się tyczy mojej „teraźniejszej,“ to jestem, zdaje mi się, prawie już wyleczony. Tylko jeszcze od czasu do czasu odezwie

dzaju widowisko ujrzeć można dziś na wielu miejscach w literaturze niemieckiej, zarówno młodszej, jak starszej. Zbiedzona, wygłodniała w rozpaczy swej wydziera chleb z ust — krytyce. Romansopisarze a nawet dramatycy tworzą dzieła, których treścią nie jest życie współczesne, ale polemika. Młode pokolenie pisarskie szydzi ze starego, starzy narzekają na młodych. Filipiki te, zawsze do siebie podobne, wkłada autor w usta jakiegoś bohatera, przycinki mniej lub bardziej złośliwe powierza figurze dowcipnej, argumenty strony przeciwnej, ile możności najsłabsze, wciela w postać inną jak najmniej sympatyczną — wszystko to razem oblepia na prędce akcyą jakąkolwiek, i romans a czasem dramat lub komedya gotowe. Nie brak tu przykładów z obozu „młodych,“ a pomiędzy utworami ich przeciwników, które przyniósł nam tylko rok ostatni, wystarczy przytoczyć dramata Heysego „Wahrheit,“ Lindaua „Die Sonne“ i komedyę Wildenbrucha „Das heilige Lachen.“

Typowym okazem tego rodzaju jest też najnowszy romans Pawła Heysego „Merlin.“ (Berlin, nakł. Wilhelma Herty 1892). Sędziwy poeta, Nestor noweli niemieckiej, a obok Konrada Ferdynanda Meyera najlepszy jej mistrz w chwili obecnej, po wielu latach zdobył się znów na napisanie dzieła o większych rozmiarach, którego wielbiciele i liczniejsze jeszcze wielbicielki jego talentu wyczekiwali oddawna z upragnieniem. A powieść ta „w siedmiu księgach“ nie zawiera znów nic innego — o czem dowiadujemy się po przeczytaniu prawie tysiąca stronic — jak tylko hymny na sztukę idealistyczną, narzekania na nowoczesny materyalizm i pesymizm, ironiczne uwagi o dramatykach i dyrektorach teatrów, polujących za sensacyą, melancholijne rozpatrywania sztuki Raucha i Schlütera oraz lamentacye nad upadkiem plastyki i malarstwa od czasów renesansu.

Ma się rozumieć, że gdy autorowi szło tylko o wypowiedzenie tych myśli tak wątpliwej oryginalności, nie dbał on już bardzo o postacie, którym je w usta włożył. To też znajdujemy w dziele jego całą galeryę maryonetek, sklejonych w ciągu lat przez romansopisarzy niemieckich ku wiecznej zabawie wiernych abonentek wypożyczalni książek. Jest tu w pierwszym rzędzie bohater młody i szlachetny między dwiema kobietami, z których jedna — aniołem złotowłosym, czystym i trochę nudnym, druga — pokusą demoniczną, wabiącą a zdradliwą. Obie ciągną serce jego to na lewo, to na prawo. Jest tu stary proboszcz o zasadach purytańskich, który przez cały czas zatruwa życie otoczeniu swemu, aż w ostatniej chwili przypomina sobie, że kiedyś w młodych latach stał się ojcem w sposób nie całkiem prawidłowy, wyznaje błąd swój publicznie i upada złamany brzemieniem żalu i wstydu. Jest też i bankier, dzwoniący ciągle pieniędzmi w kieszeni. Każda osoba ma swego bzika, każdy charakter malowany jest na czarno lub na biało.

Treść powieści można wobec tego zestawić w kilku słowach. Młody bohater Jerzy Falkner czuje, że jest powołany na odnowiciela poezyi idealistycznej. Ojciec jego, jak to zwykle bywa, ma inne zdanie, myśli, że adwokatura byłaby dla syna o wiele stosowniejszem powołaniem i odmawia mu wsparcia. Jerzy puszcza się więc o własnych siłach z lekkiem sercem i pustą kieszenią na ciernistą drogę, którą sobie obrał. Czekają go tu doświadczenia i rozczarowania, o których nie słyszało jeszcze ucho ludzkie. Posłuchajcie bowiem: nakładca nie chce drukować jego wierszy lirycznych, dyrektor teatru nie chce mu wystawić tragedyi historycznej „Rosamunde,“ a bogaty bankier Wittekind, ojciec jego narzeczonej, odmawia mu wobec zmienionych stosunków ręki swej córki. Ale stary Falkner umiera tymczasem, pozostawiając synowi spory majątek. Jerzy jest więc bogatym, żeni się ze swą ukochaną Lili i zabiera się do pisania dramatów idealistycznych, z czego możnaby mimochodem wyciągnąć sens moralny: że i idealizmowi wyjdzie na dobre od czasu do czasu zasiłek materyalny. Wszystko byłoby różowem, gdyby nie ci dyrektorowie teatrów, którzy odsyłają uporczywie rękopisy najpiękniejszych tragedyj historycznych. Ale wreszcie i tu następuje przełom. Ostatni utwór Jerzego, misteryum „Merlin“ zostaje przyjęty w Berlinie. Zawdzięcza on to po większej części pięknej aktorce Esterze, kobiecie z szatańskim temperamentem, która myśli tylko o tem, jakby ująć w swe sidła młodego poetę. Serce jej pozyskał on mimowoli tym prostym sposobem, że obchodził się z nią zawsze zimno, pogardliwie, a nawet wprost po grubiańsku. Jest to środek pewny, jak wiadomo, na kobiety „demoniczne“ wogóle, a na aktorki w szczególności; wystarczy zresztą otworzyć pierwszy lepszy romans niemiecki, aby przekonać się o tem. Piękna Estera gra więc zawzięcie swą rolę, którą grała ongi skandalicznej pamięci żona Putyfara i ciągnie tak długo za płaszczyk biednego Józefa, aż ten pewnego wieczoru zostaje w jej ręku ze swoim właścicielem. Od tej chwili Jerzy traci wiarę w siebie samego, a wraz z nią i twórczość poetycką. Fatalnym zbiegiem okoliczności żona jego umiera mu właśnie w tym czasie. Zrozpaczony, złamany ginie w końcu z własnej ręki.

Źle więc z idealistyczną sztuką w Niemczech, jeśli Heyse dla przedstawiciela jej w symbolicznie pomyślanym swym utworze nie potrafił wymyślić szczęśliwszego losu. Ale i młodszym kierunkom realistycznym, naturalistycznym, symbolistycznym itd. nie lepszą przyszłość wróżą właśnie ich zwolennicy. Można przekonać się o tem z „ankiety literackiej,“ którą od niejakiego czasu urządza w łamach tygodnika berlińskiego „Das Magazin für Literatur“ młody literat Kurt Grottewitz na wzór przeszłorocznej paryskiej „ankiety“ Huret'a. Grottewitz zabrał się jednak do rzeczy o wiele wygodniej, niż zwinny dziennikarz francuski, który osobiście odwiedzał przedstawicieli pojedyńczych grup literackich, przedstawiał im swe pytania, a potem z wrażeń układał żywe i charakterystyczne portrety. Ankieta niemiecka odbywa się na drodze listownej; każdy z zapytanych odpowiada na uczynione mu pytania artykułem krótszym lub dłuższym. To też odpowiedzi te są po największej części pozbawione wszelkiego charakteru osobistego, ogólnikowe, wymijające, a nadto niestety też często nudne i ociężałe. Ponieważ w obecnych czasach nieurodzaju na polu literatury niemieckiej niewiele widać osobistości wybitniejszych, Grottewitz wciągnął w ankietę swoją i bogów *minorum gentium*, nie przebierając zbytecznie. Spotykasz się tam z nazwiskami, o których nie słyszałeś nigdy poprzednio, z dziennikarzami, którzy w życiu swem napisali bodaj jeden tylko artykuł o literaturze — słowem: istny „plebiscyt“ o literaturze, zjawisko prawdziwie amerykańskie i godne początków XX-go stulecia.

A co za różnica między ogólnym wynikiem ankiety paryskiej a treścią tego ple-

---

się — tak naprzykład kiedyś tu, kiedym się dowiedział, że jakaś pani była u mnie na górze i o mnie się pytała; mogła to przecież być ona! Ale u kata, nie pierwszy raz połykam miłostkę. Powrót do miasta podziałał na mnie chłodząco, uspokoił mnie. Mam ją przecież w bliskości. Teraz tylko mężnie wytrzymać, a za parę miesięcy będzie po wszystkiem...

...Niedobra myśl, znowu. Zdaje mi się, jakbym chodził i zabijał coś w sobie, coś drogiego i cennego, możliwość życia; jakbym wyrywał z siebie korzeń czegoś pięknego, bujnego, co tak chciało wzrosnąć, pokryć się liściem, uchować się i otoczyć mnie zasłoną z kwiecia, białą, blado-różową, zapachu pełną...

VI.

30-ty września.

Jesień jest moją porą roku, zwłaszcza kiedy tak dżdżysta i mglista. Wtedy całe popołudnia spędzam na spacerach wokoło miasta, cieszę się przekwitłemi łąkami i chorobliwie umierającem, przeżółkającem, odpadającem liściem. I gubię się w smutnych nastrojach.

I ptaszki milkną, przesiedlają się i wszystko szuka sobie dachu i ochrony. Z licznych, małych domostw, leżących wokoło na pagórkach i wyżynach, rozchodzą się dziwnie warczące tony, rzekłbyś muzyka chochlików: to młockarnie pracują, pracują na zimę. Widzą tam, czego się spodziewać; zaopatrują się we wszystko: w żywność, drzewo, suknie, książki, jakby na czas długiego oblężenia.

W takie dni zdarza się czasami, że piszę wiersze.

Czarna, olbrzymia chorągiew
Ocienia wraz cały świat,
Przez pola, niwy pospiesza
Na chudym koniu śmierć-kat.
Spieszy na biednej szkapinie
I biedną łąki, pastwisko...
Słońce o martwem spojrzeniu
Z mgły szarej pochyla się nizko.

Kurczą się liście i więdną,
Trawka umiera, żółknieje,
Jęcząc las skłania wierzchołki
I pleśnią skonu — smutnieje.
Ruczaj w milczeniu, niechętnie
Krzaczek więdnący omija,
Spiesząc przez góry, dolny
Śmierć mroźnem tchnieniem zabija.

We wszystkich chałupach ludzkich
Okna i drzwi się zwierają,
Ludzie chowają ziemniaki
Na zimę zapasy zbierają.
Dawno już liście spadając,
Kobiercem pokryły ziemię —
Już niedźwiedź jamy swej szuka,
By cielska w niej złożyć brzemię.

Pochopnie chwytamy futra
I śniegu spokojnie czekamy.
Minęła epoka wycieczek,
W kawiarni więc zasiadamy.

Proszę — dzisiejszą gazetę
— Cóż słychać we folkethingu?
Nic! — mówisz. — Z góry wiedziałem!
A co — z ostatniego „Ringu“?

I pytałbyś do znudzenia:
— A życia nie minął czas?..
Co ziarna lato posiało
Pomyśl, pomiarkuj się wraz!
— Więc Bóg zapomniał o siewie!
Zapomniał — pytasz się — co?
Ziarenka śmieją się, szepcząc:
My przeżyjemy i to!

VII.

Zaczęło mi się lepiej robić; spostrzegł to jednak nasz dobry Pan Bóg, kazał więc naturalnie bladej dziewczynie, o kręconych włosach, skręcić na róg ulicy Kościelnej i Karola Jana właśnie w tej samej chwili, kiedy ja — idąc z przeciwnego kierunku — również ów niebezpieczny róg minąć chciałem. Ona mnie nie widziała, rozumie się; a gdyby mnie nawet była widziała? Czem jestem dla niej? Gderzącym gadułą, dziwnym człowiekiem... Nie, nie. Ale ja ją widziałem, Bóg raczy wiedzieć, w jaki sposób; bo mam stanowcze przeświadczenie, że w owej chwili obie powieki silnie zacisnąłem.

(D. c. n.).

biscytu! Tam szalone wybryki fantazyi, często bardzo niesmaczne, ale prawie zawsze oryginalne, zarozumiałość młodzieńcza, posunięta do ostatnich granic, różność zdań i zamieszanie kompletne, ale przytem pewność siebie, wiara w zdolności własne i w przyszłość najbliższą. Tu zwątpienie ogólne, popłoch na całej linii, rezygnacya, a w najlepszym razie — oczekiwanie jakiegoś mesyasza literackiego, mogącego zjawić się kiedyś, po dłuższym czasie. Znajdują się nawet tacy, którzy — jak np. Sacher-Masoch — wyrokują śmiało, że literatura w ogóle jest rodzajem wymierającym, że przez równie wysokie wykształcenie wszystkich warstw i każdego osobnika w przyszłem społeczeństwie każdy, kto zechce czytać książki, napisze je sobie sam i że książkami takiemi będą wyłącznie — pamiętniki. Istny więc dzień sądny dla literatury niemieckiej!

Ankieta Grottewitza ma zresztą wyjść w tych dniach już w formie książkowej a wówczas będzie sposobność pomówienia o niej obszerniej.

Ego.

MGŁAWICE „KRYTYKI NAUKOWEJ.“

V.

Jeśli dusza artysty, a zwłaszcza poety, jest zjawiskiem *par excellence* społecznem, mimo swój pozór indywidualny — zbiorowem, to przetrząśnięcie jej zawartości stanowić będzie jakoby przegląd tych wszystkich ludzi, usposobień, natur, poglądów, które się w niej zogniskowały. Innemi słowy analiza pełna i prawdziwie psychologiczna, rozkładając wrzekomą jednostkę, rozkłada właściwie i maluje całe, wielkie lub mniejsze grupy osób. A wtedy zbytecznemi się stają wielkie wstępy historyczne lub etnologiczne, jako też przemądrzałe wnioski. Poeta bowiem lub dany kierunek twórczy przestaje być wypływem takiego a takiego tła, jego następstwem, lecz zlewa się z niem w jedno jako cząstka integralna. Grunt, na którym on wyrósł i własne jego ja — to jedno i to samo. Zaledwie ułamek prawdy tkwiłby w twierdzeniu, iż Dante jest *produktem* wieków średnich z ich ascezą, mistycyzmem, scholastyką, polotem gotyckim i nieśmiałemi jeszcze tęsknotami za oświatą greków i rzymian. Nie — on jest sumą wszystkich tych żywiołów, to nie jego rodzice, lecz pierwiastki składowe ducha. Portret twórcy *Komedyi boskiej* powinien być sam przez się portretem żałosnych uczuć i ideałów średniowiecza, a więc wizerunkiem tych milionów dusz, o których myśli, i z którymi współczucie, solidarność, powinowactwo geniusz jego zapłodniły.

Ten fakt pierwszorzędnej wagi, dotąd raczej przeczuwany, niż uświadomiony, posiada w sobie samym dźwignię, która wznosi krytykę na wyżyny niebotyczne. Widać stamtąd całą ludzkość, najważniejsze jej sprawy i ideały, a widać przedewszystkiem owe wyniosłe cyple gór, którymi są wielcy poeci i wielcy artyści. Taka krytyka zatem może być i głęboko filozoficzną i prawdziwie godną swego przedmiotu, bo wykazując całą potęgę twórczości, całe bogactwo uczuć i myśli w dziele sztuki, całą plątaninę nici idących od artysty ku jego sferze, przywraca mu zarazem to berło królewskie i tron, z którego faktycznie rządzi on ludźmi i zapędza pod jarzmo jako wasalów — tych de niedawna udzielnych i nietykalnych witeziów, jak nauki społeczne, filozofia, etyka. Bo dziś poeta, powieściopisarz, zagarnąć może, jeśli chce, tyle ziem, ile ich wchodzi w jakikolwiek związek z uczuciem, może być socyologiem, wyświetlającym nowe zjawiska i rozwiązującym ciekawe zagadnienia, jak np. Zola w *Germinalu*, *Edmund de Amicis* w *Na oceanie* Bret Hart w nowelach kalifornijskich, Knut Hamsun w *Głodzie*, Tołstoj w *Sonacie Kreutzera*, Orzeszkowa w *Nad Niemnem* itd. Może być etnografem, jak wszyscy powieściowi badacze nowych warstw, okolic i stosunków, psychologiem, jak Goncourtowie lub Garszyn, kosmogonistą, jak Edgar Poe, etykiem, jak Carlyle lub Whitman, historyozofem, jak Shakespeare w dramatach dziejowych, metafizykiem, jak Shelley, antropologiem, jak Lecomte de Lisle, wychowawcą, jak Rousseau lub Hammerling. Na wszystkich tych polach może on siać i zbierać żniwo prędzej, niż nawet nauka właściwa, taka powolna, ciężka i utykająca w swym wymęczonym pochodzie. A jeśli tego nie czyni, to dlatego, iż nie ma i nie pojmuje całej rozciągliwości artystycznej obserwacyi i wciąż zostaje pod naiwnym wpływem dawnego poglądu na zawód i powołanie pisarza, na stanowisko „wieszcza,“ „barda,“ „piewcy“ itp. Osobliwie u nas rej wodzi niemowlęctwo, które nic nie umie, niczego się nie nauczyło, niczem nie nasiąkło, ciemne, jak tabaka w rogu, ślepe, jak pisklę świeżo z jajka wyklute, wobec pulsu epoki i tysiąca palących zagadnień lub djablo ciekawych faktów — śmie płodzić powieści i poezye. Z pustego chcą lać i leją też w rzeczy samej...

W rezultacie więc widzimy, że bez uciekania się do rozmaitych hypotez, jak w filozofii sztuki Taine'a i bez tworzenia szerokich, ale jeszcze wątpliwszych wniosków, jak w *Estopsychologii* Hennequina, można z racyi samej natury poety i z racyi samej istoty analizy — postawić krytykę na stopie wysokiej naukowości. Czyż mamy prawo rzec, iż wcale tego oni nie zrobili? Bynajmniej. Zrobili, i za dużo pod względem formalnym, a za mało dla samego rdzenia sprawy.

Najpierw za dużo, bo pragną wraz z wielu swoimi zwolennikami ująć krytykę w stałe prawidła, punkta, paragrafy. Chcą z niej zrobić umiejętność całkiem przedmiotową, tak, jak np. fizyologia lub geografia. Zapominają, że poeta zostaje do nas w stosunku uczuciowym, *wzruszeniowym*, i jako taki objektywnemu rozbiorowi żadną miarą się nie poddaje. Krytyk jest tylko wrażliwszym i rozumniejszym czytelnikiem, stoi on między ludźmi, a nie na Olimpie i bezwzględnej równowagi posiąść nie może. Pewni artyści będą dlań zawsze z tytułu duchowego braterstwa szczególnie *zrozumiałymi*, inni znowu prawie niepojętymi. Dla jednych musi mieć sympatyę gorącą, dla innych znów niechęć lub obojętność, a stosownie do nastroju tego, mniejsza jest lub większa bystrość. Nie mamy bynajmniej tylu komórek w sercu, ile Jules Lemaître, któremu wszyscy są jednako mili, o czem świadczy najlepiej to, że wszyscy krytycy „naukowi“ są egotystami (osobliwie Bourget) *). Mamy przenikliwość i zapał, gdy sondujemy umysł, który wypowiedział piękniej to, co na dnie naszego ducha drzemało, nie mogąc zerwać się do lotu; mamy werwę i jasność sądu, gdy odwrotnie pisarz jest dla nas biegunem przeciwległym. A ilekroć zajmuje on środek między jednym a drugim — piszemy o nim z musu, nie *con amore*, a więc i nie głęboko.

A cóż będzie warta krytyka, pisana językiem i ze spokojem kodeksu cywilnego, na którym niby to uczył się Stendhal. Kto potrafi flegmatycznie i kto się zgodzi letnio mówić o szałach i namiętnościach poety, o tem, co z natury rzeczy porywa, zachwyca, oburza lub pognębia, kto na cud geniuszu potrafi patrzyć szklistą źrenicą, a stać na wulkanie ospałą stopą? Nie zadawajmy sobie gwałtu pokusami sztucznej oschłości, bo w tej narzuconej roli można wytrwać krótko tylko, ot, dopóki nas zajmuje język pisarza, jego styl lub właściwości techniczne.

Cóż to znaczy? Że krytyka jest pracą artystyczną. Widzieliśmy to w stałem owem kojarzeniu się analityka i twórcy w jednej osobie. Krytyk więc jako malarz, rzeźbiarz i poeta zarazem musi mieć swobodę słowa i metodę, swą niekrępowaną niczem indywidualność. Zapewne, dla niektórych potrzeb bieżących, jak dziennikarstwo, muszą istnieć takie gatunki uniwersalnych celników, którzy każdy przywieziony na targ towar zważą, obejrzą, tym samym szpikulcem przekłują i robią przytem miny łaskawców całej ludzkości. Niekiedy znów pełnią oni służbę kwarantannianą, czasem są faktorami między autorem i ogółem i od nich, rozumie się, żądać trzeba jaknajwiększej bezbarwności i bodaj zupełnego braku własnego ja. Ale wszelka krytyka dla użytku wiekuistej sztuki i nieśmiertelnej literatury stokroć więcej przyczyni się do chwały ich i własnej, gdy zarzuciwszy scholastykę, śmiało i jawnie stanie pod ich sztandarem i powie: Ja do was należę, jam wasz brat, sprzymierzeniec, współrodowiec; jednakie są nasze chęci, ustroje, namiętności, co najwyżej różnimy się w środkach artystycznych. Wy odtwarzacie ludzi i świat i do głębin ich zazieracie — ja czynię to samo, jeno moi bohaterowie są od waszych najczęściej zawilsi, bardziej złożeni, żeby ich uwypuklić i wyjaśnić, potrzebuję jeszcze więcej architektoniki, kompozycyi, znajomości życia, giętkości języka, bogactwa barw dla oddania wszelkich subtelności, potrzebuję większej skali uczuć i samoistnych postrzeżeń.

Czyż mamy jeszcze dowodzić, że krytycy naukowi zrobili *za mało* dla samej istoty analizy. Rdzennie francuski punkt widzenia każe im baczyć głównie a często i wyłącznie na temperament, na organizacyę, na ustrój nerwowy i w kunszcie portretowania samej jednostki jako pewnego przyrodniczego typu, doszli do wprawy i doskonałości, po nad które zbyteczna wspinać się, bo czynią one zadosyć najbardziej wybrednym wymaganiom. Ale strona moralna i rozumowa, *ideał* poety zostaje dla nich nieraz zamkniętą na siedem pieczęci księgą. Jakże wymownie świadczą o tem losy Brandesa! Obwołano go uczniem Taine'a, francuzi nawet nieraz lekceważąco (Hennequin) o nim się odzywają, a przecie *Główne prądy* — to nowe widnokręgi, to cały, olbrzymi krok naprzód w dziele *pełnego* uwzględniania ducha poety. Wprawdzie i znakomity duńczyk ma swą jednostronność w barwie politycznej, jaką nadaje swym bohaterom, ale dla niego poezya nie znika za artyzmem, działacz za temperamentem, myśliciel za stylistą, apostoł za indywidualnością, obywatel Europy za anglikiem lub niemcem.

Nam się zdaje, że wiek, w którym żyjemy, wykopie otchłań między naszymi gustami a fizyologicznym poglądem na poezyę. Coraz więcej oddala się ona od sztuk plastycznych, zmysłowych, których obręb właściwy stopniowo zwęża się do ich energii gatunkowej, coraz więcej ludy północy i wschodu ze świeżą swą siłą i nowemi myślami przekonywają, że wielkie pragnienia, potężna wola, egzaltacya, żywiołowość mogą być zarazem wielką sztuką nawet bez pomocy wytwornej szkoły francuzów. Ta szkoła ciąży nam, ona już przeżuwa dawny swój pokarm, jałowieje i marnieje, coraz bardziej błyskotliwą i coraz bardziej pustą. A kiedy owo ożywcze tchnienie nowych literatów obejmie świat — to i krytyka skru-

---

*) Naturalnie, nikt nie zechce chyba wyprowadzać stąd konkluzyi, że przyznajemy jakąkolwiek słuszność sceptycyzmowi Anatola France'a, Pawła Dejardina i Lemaitra, dla których krytyka winna być tylko zdaniem sprawy z wrażenia. Ostatni z nich, szczery aż do fanfaronady, impresyonista aż do płytkości, dużo wygłosił trafnych uwag o różnych „kombinacyach“ u Taine'a, Nisarda, Brunetière'a. Co do nas, nie wątpimy ani na chwilę, że gdyby zamiast w determinizmie estetycznym lub antropologii analiza czerpała swój polot i głębię w należytem pojmowaniu społecznego jestestwa poety — impresyonizm nie święciłby tak licznych i łatwych tryumfów.

szy złote pęta, przestanie być epikurejską kontemplacyą, naukowa przedmiotowością i choć poważną, ale beznamiętną zabawką.

Cezary Jelenta.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

Dramat Björnsona. — *Rękawiczka.* — Ideje hr. L. Tołstoja. — Bal Towarzystwa. — Zabiegi *Kraju.*

Nie pamiętam w tej chwili, gdzie czytałem zdanie, że dramat Björnsona — *Rękawiczka* — jest utworem znakomitym. Dostałem książkę, poszedłem do teatru, czytam, słucham i nie wiem, o co autorowi idzie. Wyobraźcie sobie pannę, co pokochała młodzieńca, lecz gdy się dowiaduje, że on nie jest niewiniątkiem, recytuje ogrom morałów, rzuca mu w twarz rękawiczkę i wyrzeka się go.

Ktoś rzeknie: Jest to bardzo pięknie! Jeżeli mężczyzna wymaga, ażeby kobieta nie znała przedtem nikogo, ona również ma prawo tego żądać.

Wtedy jesteśmy w porządku, uprawiamy kult ciała obustronnie.

Zasady, przekonania, ideje — wszystko są to rzeczy podrzędne, grunt stanowi ciało. Rozumiem unikać rozpusty, lecz nie rozumiem tego cynizmu, który z ciała człowieka czyni ołtarz modlitwy. Niechby bohaterka Björnsona postawiła kwestyę: a jeżeli tamta, co umarła lub odeszła, była wyższą ode mnie pod wszystkiemi względami, czy nie zawiodę oczekiwania mego męża? Jej nie o to chodzi: ze skwapliwością namiętnej samicy dba nie o całość duszy człowieka, lecz ciała.

Autor dwakroć przerabia swój utwór, uwydatnia ideję, napawa się nią. Otóż możemy go zapewnić, że u włościan gubernii tambowskiej żądanie jego spełnia się należycie; dzięki temu, że przestrzeni dla pracy jest jeszcze dosyć, że człowiek nie biada, co ma uczynić z dziećmi, sam też nie jest zmuszony przed trzydziestym rokiem życia przygotowywać się do fachu, więc w 18—19 roku już się żeni; może trochę zawcześnie, zato bezwątpienia czyściutki od zmazy. Należałoby bohaterce Björnsona pojechać do tych wiosek i wyszukać sobie parobczaka, dla pewności zaś podać go ekspertyzie.

Można, a nawet trzeba narzekać na rozpustę, która wiedzie ludzkość do zwyrodnienia, lecz idealizować zazdrosną pożądliwość, tego chyba za nadto! Niech pisarze natomiast szukają dogodniejszych, naturalniejszych warunków życia, a reszta spełni się sama przez się. W ośmnastym, w dwudziestym roku życia chyba nie wiele jest zepsutych mężczyzn, nawet w mieście—a jest to właściwa pora miłości i zapędów; niech im dadzą wtenczas żony, a wszystko będzie pięknie. Kobiety najczęściej w tym wieku mianowicie wychodzą za mąż, nie dziw więc, że nie mają czasu na żadne wybryki. Prawda, są panny, które święcą swój tryumf do późnych latek, nie życzylibysmy jednak nikomu takiej żony; jedno bowiem z dwojga: albo jest zwyrodnioną, pół-rybą, albo organizmem zgwałconym, więc nerwowa, zła, nieznośna. Dla czego kobiety nie zbyt lubią *tetryków* — mężczyzn z chłodnym, przyćmionym wzrokiem, blademi zaciśniętemi ustami, znerwowanych lub znieczulonych? Upewniamy, że są to przedewszystkiem ideały Björnsona. Skoro zaś nie chcą takich, niech wychodzą za 20-letnich młodzieńców, za pierwszego studenta, który lękliwie patrzy im w oczy, niech nie czekają, nim ich siostrzyca mniej wyrachowana, korzystając z naturalnego rozmarzenia młodzieńca, zabierze go sobie... na rok, na trzy lata — co jej znaczy! Ona przecie nie umie rachować. Albo trzeba zrywać owoce w swoim czasie, albo brać tego, który zabezpieczy przyszłość i w takim razie nie pytać o przeszłość: innego wyjścia nie ma,

Zauważmy, że nawet opinia w zupełności nagięła się do arytmetyki kobiet. Na młodzieńca, który dla zabezpieczenia sobie dobrobytu rzuca się w objęcia poszarganej lub podżyłej piękności, miotamy prawie obelgi; kobiety zaś codzień to czynią, jednak szanujemy je — i tem bardziej, im z większem wyrachowaniem zabezpieczyły swą dolę. Björnson tego nie widzi, nie rozumie, że jest na rynku społecznym, gdzie każdy bierze to, co mu jest ponętniejszem. Prawda, bohaterka jego nie dba o grosze, ponieważ nie zna biedy, ale rozumowania jej wcale nie są czyste. Wyobraźcie sobie, on śmiał niegdyś kochać, śmiał kogoś dotykać, co za brud! Niech mnie pierwszą dotyka, a będzie to świętość. Co to jest: obłąkanie, czy pycha? I gdzie w tem wszystkiem choć odrobina ducha? Korzystając z zasobów, niech kupi sobie młodzieniaszka (jak to niekiedy obu płci mili staruszkowie czynią), a znajdzie, czego szuka. Pomimo rozpaczy moralistów tego rodzaju zalety są częstsze, niż duchowe, gdyż... gdyż zwierząt na świecie jest więcej niż ludzi.

Hr. L. Tołstoj głosząc ideę zupełnej czystości, aż do zaniku rodzaju ludzkiego, był przynajmniej logiczny. Jeżeli pewne zjawisko jest nieczyste, przy wszelkich warunkach takiem pozostaje. Ryba rzucając ikrę, słowik śpiewający trele, róża w pełni rozkwitu — są to wszystko rzeczy brudne i godne śmierci. Przyznajmy, że bywają pewne okresy, w których ludzkość dostaje ogólnego zawrotu głowy. Cóż bowiem widzimy? Jedni naturalne prawo odradzania się człowieka przetworzyli w bachanalię, drudzy z zapałem smakosza poszukują, jak Herody, niewiniątek, inni zaś przerzucając się w krańcowość, radzą ogólne samobójstwo, gdyż, podług ich zdania, celem przyrody jest śmierć powszechna. O ducha ludzkiego nikt nie pyta, nikt nań nie zważa, nie stawi mu zadań. Kwestya bydlęca zajmuje najlepsze umysły.

W ostatnim zeszycie czasopisma filozoficznego (w Moskwie) L. Tołstoj umieścił artykuł, wzywający ludzkość go wegeteryanizmu. Idea to piękna... Radziłbym jednak nie zatrzymywać się w połowie drogi i dążyć dalej: rośliny też żyją i żyć chcą, przestańmy więc je niszczyć. Być może natura, wynagradzając naszą dążność do ideałów, da nam własność żywienia się lotnymi pierwiastkami powietrza.

Bądźmy szczerzy. Gdyby nam zaproponowano wydać dziesięć rubli albo na Towarzystwo pląsów, albo na Towarzystwo dobroczynności, z pewnością nie wahalibyśmy się w wyborze na korzyść pierwszego.

Ostatniemi laty, gwoli uciesze, natworzyliśmy niemało przybytków Terpsychory, to też miłosierdzie nawet na tańce nie może nas zwabić. Nie dziw więc, że zamiast sześciu tysięcy, jak dawniej, w tym roku otrzymano dochodu z balu katolickiego Towarzystwa dobroczyności o połowę mniej, tj. zasoby uszczupliły się o trzy tysiące rubli. Zarząd na ogólnem zgromadzeniu postawił kwestyę: czy brakującą sumę zaczerpnąć z zapasu, czy też zaoszczędzić na głodnych?... Serca mamy czułe, zdecydowaliśmy więc wziąć z zapasu.

W całej tej sprawie, jak widzimy, wszystko jest jasne i proste: ludzie, zziajani pląsami, nie chcieli tańczyć na balu miłosierdzia i uczynili szczerbę znaczną w jego budżecie. Nie wszyscy jednak patrzą na rzecz tak prosto; niektórzy mniemają, że zarząd nie umie wynaleźć nowych źródeł dochodu, że potrzeba komisyi do *obmyślania.* Z tego powodu mieliśmy nawet ogólne zgromadzenie, stawiła się jednak tak mała ilość członków, że posiedzenie nie doszło do skutku. Widzimy więc, że nawet ci, co racą być członkami Towarzystwa, tj. osoby bardziej interesujące się dobrem ogółu, nie zbyt są żarliwi.

Kraj w obszernym artykule zamiast budzić leniwych ze snu samolubnego, całą winę zwala na zarząd Towarzystwa. Do uzupełnienia obrazu tego tylko brakło! Teraz ze spokojnem sumieniem możemy tańczyć na wieczorkach.

U ludów zgnuśniałych, samolubnych, nie umiejących szanować pracy i dobrych chęci, zwykle ten, co najwięcej się troszczy jest najwinniejszym. O podzięce, o uznaniu nawet nie może być mowy.

Redakcya *Kraju* spała na równi z innymi, a teraz się zbudziła. Przyrzeka nawet drukować wszelkie sprawozdania a tak niedawno, bo w 1891 r., gdy zarząd posłał jej bilans półroczny, nie ogłoszono go wcale. P. Ptaszycki na dwa tygodnie przed odczytem na rzecz Dobroczynności posłał do *Kraju* program z prośbą o zamieszczenie go i zachęcenie ogółu do przybycia. Redakcya nie uczyniła o odczycie ani wzmianki.

Złośliwi mniemają, że redakcya umyślnie robiła, co mogła, ażeby zarząd Towarzystwa zachwiać, poczem wystąpiła z taranem dbałości o sprawę miłosierdzia, aby zdruzgotać bramy i objąć fortecę. Nie naprózno nr. 17 tego pisma rozsyłała nawet nie prenumeratorom. Nie była to więc bezstronna krytyka, niestety, lecz podjazd.

Niepotrzebnie też autor artykułu napisał, jakoby zarząd z nożem do gardła przystępował... Rzecz dziwna, że *Kraj,* który bywa tak uprzejmy nawet względem blagierów wszelkich odcieni, stosuje niewłaściwe wyrazy do osób rzeczywiście zasłużonych w społeczeństwie i godnych szacunku. Jak tu nie przypuścić, że gdyby zarząd usłuchał wniosku redaktora *Kraju,* tj. urządził komisyę do *obmyślania,* a zachęcił zgromadzenie, aby wnioskodawcę obrało przewodniczącym, natenczas wszystko stałoby się dobrze?

Czy potrzebna jest komisya? Chyba taka, która by chciała pracować, pomagać zarządowi, spełniać jego wskazówki. Niestety, mieliśmy już komisyj kilka, a wszystkie one kończyły się utytułowaniem pewnych osób, nie zachęcając ich wcale do pracy. Tydzień, dwa tygodnie członkowie zbierają się, gwarzą, wreszcie, uczyniwszy w zarządzie gmatwaninę, dają pokój.

Juści przyjemnie jest przeczytać: gospodynią np. koncertu była pani X., prezesową p. Y., inicyatorką — p. Z. Wszystko to jednak blaga. Cały ciężar pracy, kłopotów zostaje na barkach zarządu.

Słyszeliśmy i takie rozumowania: Redakcya *Kraju* narzeka na złą gospodarkę zarządu, jednak dotychczas dochód wciąż wzrasta, nawet w krytycznym 1891 r. otrzymano 24 tysiące, tj. więcej, niż w 1890 r. Natomiast redakcya, która uczy oszczędności, tak niedawno we własnym domu zrobiła dziesiątki tysięcy deficytu. Coby się stało z Dobroczynnością, gdyby tacy obmyśliciele zastąpili dzisiejszy zarząd, przy którym doszliśmy do mienia 120 tysięcy? Prawda, *Kraj* niegdyś zbierał składki na rzecz niezamożnych uczniów, co w artykule swoim szczególnie uwydatnia, a zebrał około 11 tysięcy; ale to było dawniej, kiedy piękne jego słówka przyjmowano za przekonania. Ale dziś, dziś!..

Scena polska wynajmuje na przyszły sezon salę Pawłowa. Przedsiębiorstwo obejmuje p. Kamiński. Tuszymy, że nie przywiezie aktorek, które artystom grać przeszkadzają.

N. B.

PAMIĘTNIK.

Przepowiednie meteorologiczne.

Trochę bezczelności dawnych wróżbiarzów kalendarzowych, trochę wiary w łatwowierność ludzką, trochę naiwnego zau-

fania do swoich spostrzeżeń — a z tej mieszaniny powstanie łatwo proroctwo meteorologiczne na rok cały. Rodzą się tu szybko próchniejące grzyby ciągle, pomimo wszelkich zawodów i rozczarowań. Nie ma prawie miesiąca, ażeby wszystkie pisma codziennie chórem nie powtórzyły jakiejś przepowiedni, bądź wyciągniętej ze starych banialuk astrologicznych, bądz upieczonej świeżo. Ostatnia obiegła naszą prasę w końcu marca, czy też w kwietniu, a zapewniała deszcze i chłody „aż do sierpnia,“ które jednakże głównie dokuczać nam miały w maju, akurat wtedy, kiedy nas trapiły wyjątkowe upały. Przez lat kilka p. Kajetan Kraszewski w swojem obserwatoryum wiejskiem zdobywał jasnowidzenia meteorologiczne, sięgające na trzy miesiące w przyszłość, które *Gazeta rolnicza* ogłaszała w osobnych dodatkach kwartalnych. Ale gdy niemiłosierna aura ustawicznie płatała astronomowi najzłośliwsze figle i akurat wtedy szła linią deszczów, kiedy jej wykreślono linię suszy — porzucono tę zabawkę.

Nie dowodzi to wcale, ażeby wszelkie wróżby o stanie pogody były bałamuctwem. Na krótsze (kilkodniowe) przeciągi czasu da się ona oznaczyć z pewną dokładnością, a stacye środkowo-europejskie i amerykańskie, ogłaszając swoje przypuszczenia, wyświadczają rolnictwu i żegludze rzetelne usługi. Nauka nie zrzeka się nawet hipotez dalej idących. W n-rze 13 *Prawdy* zaznaczyliśmy wywody Brücknera, który przeprowadziwszy badania zmian temperatury od w. XVII i powiązawszy je z pewnemi zjawiskami przyrodniczemi, a zwłaszcza z plamami na słońcu, dowodzi, że po szeregu lat dżdżystych i chłodnych, wstępujemy obecnie w okres lat suchych i ciepłych. Pierwsza połowa roku bieżącego sprawdza to mniemanie. Opad zimowy był bardzo mały, wiosna dość sucha, a w maju upalna. Podobny domysł odezwał się z innej strony. Wypowiada go H. de Narville w *Journal des Débats*. Temperatura klimatu zależy od kierunków wiatru. Jeżeli wieją przeważnie wiatry zachodnie, otrzymujemy chłodną i dżdżystą, jeżeli wschodnie — suchą i ciepłą. Renou, dyrektor obserwatoryum paryskiego, wykazał, że średnia temperatura ostatnich lat 13 (1879—1892) wynosi 9,7°, a więc o 3 mniej, niż normalna. Wywnioskowano z tego, że ziemia coraz bardziej się oziębia. Tak wszakże nie jest. Ten 13-letni okres był tylko zrównoważeniem poprzedniego (1862—1878), ciepłego, kiedy średnia temperatura była 10,27°, a zatem 0,3° po nad normalną. Według wszelkiego tedy prawdopodobieństwa przebyliśmy lata zimne, a wchodzimy w ciepłe. Bodajby! *K.*

Rozwiane złudzenie.

Czcze mędrkowanie, które nawet z tabliczki mnożenia umie wydobyć niespodzianki, wysnuło bajkę, że nowy udoskonalony karabin jest najbardziej ludzkim ze wszystkich dotąd znanych, gdyż dziurawi „czysto,“ przebija kości bez zgruchotań i — jeżeli nie zabija — to tylko czyni swe ofiary „niezdolnemi do walki.“ Otóż przeciw tej bajce i tym zachwytom wystąpił znany lekarz wojskowy, Habart (autor rozpraw „Die Geschossfrage der Gegenwart“ i „Geschosswirkung der Acht-Milimeter-Handfeuerwaffen“). Tak — powiada on — ośmiomilimetrowy karabin czyni postrzelonych niezdolnymi do walki, ale... na zawsze. Z odległości 4 kilometrów można nim zabijać ludzi na pewno. Uderzenie kuli jest poprostu straszne, gdyż *jedna* może w zwartej masie wojska przebić cały szereg żołnierzy. Z doświadczenia przekonano się, że przeszedłszy przez 140 centymetrów gruby nasyp, jeszcze zraniła człowieka. Wobec tej okropnej siły zachwyty nad dobroczynnem działaniem nowego karabina są bezmyślną naiwnością. „Broń ludzka (humanitarna) — powiedział prof. Kraske — jest bezsensem.“ Do tego dodaje Habart: „Dziwnem jest żądanie od techniki orężnej, ażeby ona dostarczyła strzelby zabójczej i jednocześnie ludzkiej.“ Autor ten do swej książki dołączył bardzo szczegółowe ilustracye, unaoczniając działanie ośmiomilimetrowego karabina i spustoszenia, jakie jego kula sprawia w ciele człowieka. Tablice te usuwają wszelką wątpliwość co do skuteczności pocisków i rozwiewają myt o mniemanem ich dobrodziejstwie. Myśl więc o morderczej mocy nowego oręża i o przerażającem jego zniszczeniu w przyszłej wojnie nabrała jeszcze większej zasadności. Ale czy wynalazczość ludzka w tym kierunku wypowiedziała swoje ostatnie słowo? Kula z najlepszego dziś karabina przebija kilkunastu żołnierzy; kto wie, czy wystrzelona z doskonalszego, który zrobiony będzie za rok lub pięć, nie przebije stu? Granicy tu żadnej nie ma, a przynajmniej dotychczas jej nie widać. *W.*

Kradzież dziennikarska.

Times angielski postawił przed sądem kwestyę, która według niego obchodzi dziennikarstwo całego świata i powinna być raz rozstrzygnięta zasadniczo. Mianowicie wytoczył on proces *St. James Gazette* o niedozwolony przedruk artykułu. Rozumował zaś tak: Chcąc podtrzymać swoją sławę i znaczenie wszechświatowe, musi zapełniać swe szpalty materyałem drogim. Niejeden artykuł lub depesza kosztuje go kilkadziesiąt funtów st. (kilkaset rubli). Tymczasem dzienniki mniejsze i uboższe, przedrukowywując całe szpalty z jego kolumn, w kilka godzin po nim ofiarują swoim czytelnikom to same drogocenne rzeczy bez żadnych kosztów. *Times* tedy domagał się: skazania *St. J. Gazette* na zapłacenie mu szkód i strat i zatamowania podobnej grabieży w przyszłości. Sąd nie przychylił się do skargi lwa, któremu szakale obrywają kawały zdobyczy — czy słusznie? Odpowiedź na to pytanie zależy od stanowiska, z jakiego ją damy. Jużci kapitalistyczno-dziennikarski lew ma racyę, że łup przez niego zdobyty stanowi wyłączną jego własność. Ale szakal powiada: cóż ja winienem, że nie mam lwiej siły? A skoro istnieję, posiadam prawo do życia. On zwycięża przez łapy potężne, ja przez zręczne. Czy mu nie dosyć, że spożyje najlepsze kąski, a mnie pozostawi gorsze? Za to, że *Times* rozporządza ogromnymi środkami, daje swym czytelnikom o kilka godzin wcześniej ten sam tekst, który *St. J. Gazette* daje swoim później.

Właściwie zatarg ten jest dla nas kwestyą przyszłości, tj. czasu, kiedy będziemy mieli pisma, wydające np. dziennie tysiąc rubli na telegramy lub rubla od wiersza artykułu. Dziś, gdy drut telegraficzny przynosi nam kilkadziesiąt wyrazów, a resztę dopełnia poczta, nożyczki i tłomacz, gdy za artykuły najznakomitszym współpracownikom płacimy po parę rubli — kto i co ma rabować? Zdarzają się zamaskowane przedruki doniesień lub plotek, ale są to — że tak powiem — kradzieże dziennikarsko-kieszonkowe. Do rabunku na wielką skalę nie zbrakło by nam chęci, ale brak odpowiednich przedmiotów. Jeżeli gazeta kolońska zamieszcza telegram z Berlina, zawierający wszystkie mowy posłów potrójnego parlamentu, to dla drobnych dzienników jest pokusa do przedruku; ale jeżeli u nas jakieś dobrze poinformowane pismo doniesie, że „pierwsza naiwna“ choruje na katar lewej sapki... czy warto wyciągać rękę uzbrojoną — nożyczkami? *O.*

Po wyborach.

Nasz szlachcic ma ucho tak stworzone, że słyszy niem tylko głosy rozumu dochodzące doń z wnętrza; zewnętrzne odbijają się o nie, jak o wydrążenie skały. Czasem owo wnętrze nie ogranicza się do jednostki, lecz obejmuje cały stan: wtedy p. Piotr słyszy, co mu radzą lub wyrzucają pp. Paweł, Józef i Jan, ale jest zupełnie głuchy na podobną mowę innych ludzi. Zdarzają się też wypadki rzetelnego komizmu: jeżeli pisma bez godeł większej własności w herbie dadzą ziemianom jakąś moralną lub ekonomiczną lekcyę, zaczepieni odburkną się i nasuną czapki na uszy. Jeżeli tę samą lekcyę da im później pismo „dobrze urodzonych“ — ukłonią mu się, podziękują i powiedzą: ten prawi i z głowy i z serca. Po dokonanych wyborach do Towarzystwa kred. ziem. nawet w organach dworu i plebanii zaczęto rznąć radców na drobną sieczkę. Według „Obserwatora“ w *Wieku* „ziemianie nasi wyraźnie i głośno oświadczają, że kierunek władz naczelnych Towarzystwa kred. ziems. nie odpowiada interesom ogółu (?),“ że „stowarzyszeni stawiają nawet zarzuty dotyczące osobistości wybranych na urzędy... i zarzuty owe przyoblekają w formę wniosków, mających na widoku *przerwanie* rzeczywiście normalnej (a może nienormalnej?) *łączności*, istniejącej między niektórymi członkami władz Towarzystwa kr. z. a zarządami Towarzystw asekuracyjnych“ *). Jeżeli tak źle i brzydko się dzieje, to cóż prostszego, jak wybrać ludzi, którzy by odpowiedzieli wymaganiom? Tak sądzi również „Obserwator.“ Gdy niezadowolenie wzrosło — powiada on — „zmiany mandatów zdawały się nieuchronne, ogromna większość tego żądała, więc należało się spodziewać, że władze Towarzystwa wyjdą z ognia wyborczego odmłodzone, jak starożytny Feniks z popiołów. Tymczasem (tu nas zalatuje echo antiszlacheckie!) nie rachowano na to, że u nas jedną z zalet, z którą najrzadziej spotkać się można, jest logika i konsekwencya, zgodność słów i czynów.“ Po kilkoletniem łykaniu żółci, oburzeni na swych przedstawicieli stowarzyszeni „stawiali wnioski tego rodzaju, że można je było uważać za votum nieufności dla kierujących instytucyą, jednak nazajutrz z dziwną, niewytłomaczoną niczem uległością szli do wyborczej urny, by zostawić mandaty tym, którzy w ich oczach w przeddzień wyborów nie zasługiwali na to.“

Porzućmy drwiny, które w tym wypadku byłyby bardzo łatwe, i zapytajmy poważnie ziemian: czy oni uważają się za dojrzałych umysłowo i poczytalnych, czy też nie? Jeżeli tak, to niech nie przybywają na wybory radców w nielicznym zastępie, niech powołują takich, którzy zdolni są dogodzić ich żądaniom i interesom, i niech przy tym akcie nie kierują się ani sentymentem, ani stosunkiem sąsiedzkim, ani litością, ani zrazami z kaszą, lecz względem na dobro własne. Sami wybierają radców, sami przez nich rządzą Towarzystwem, czegoż więc chcą, kogo oskarżają i do kogo apelują? Doprawdy wszystkie te utyskiwania przestały już być głosem rozumu, a są kapryśnem mazaniem się dzieci, które same włażą w błoto i potem płaczą, że im w trzewikach mokro. *W.*

Nasze rzemiosło.

Rzemiosło dzisiaj wszędzie stacza się w przepaść; jest to nieodzowne następstwo całego tegoczesnego rozwoju technicznego. Z jednej strony wybija się z pośród stanu rzemieślniczego nieliczna garstka jednostek przebieglejszych i zwolna, jeżeli warunki sprzyjają, jak to się dzieje mianowicie u nas, w Austryi lub Niemczech, stwarza zastęp kapitalistyczno-przedsiębiorczy; z drugiej większość, a gdzieniegdzie całe masy, zostają zamieniane na wolnych, jak ptactwo, najemników. Naturalnie sprawa ta nie toczy się bez poszukiwania różnych środków i środeczków przeciw nieodzownemu bankructwu, bez przykładania rozmai-

*) Pomiędzy ziemianami utrzymuje się stale przekonanie, że radcowie, piastujący zarazem urzędy w instytucyach asekuracyjnych, przeszkadzają utworzeniu przy Towarzystwie kred. ziems. działu ubezpieczeń.

tych plastrów, które nic nie sprawiają. Konanie rzemiosła odbywa się przy nader licznem znachorstwie, a każdy spieszy ze swoim rumiankiem. Spostrzegamy to dziś u nas na szeroką skalę. Spójrzmy na działalność sekcyi w warszawskim Towarzystwie popierania przemysłu i handlu. Ileż tu nie nagadano się, a jak mało spadło deszczu z wielkiej chmury, ciężarnej słowami i radami! Nawet w jednem pozytywnem przedsięwzięciu, które mogłaby owa sekcya wykonać — w zbadaniu stanu rzemiosł, jak mało dotychczas zrobiono!

Świeżo mamy znowu kilka próbek wspomnianego znachorstwa, które radzi i radzi wzorem wiejskich kumoszek nad łożem śmierci. Wiadomo, że oddawna odbywa się poród obiecywanego Muzeum rzemieślniczego, i że czy to dzięki niezgrabności akuszerów, czy też innym powodom, noworodek nie chce ukazać się na światło dzienne. Jakie nadzieje pokłada w nim stan rzemieślniczy? „Chwila otwarcia tej pożytecznej ze wszech miar i doniosłego znaczenia instytucyi — pisze organ tej warstwy — będzie chwilą przełomu dla naszych rzemiosł... znajdą one przy boku pomocnicę, która zawsze do usług gotową będzie, więc rzemiosła bezwątpienia potężniej i lepiej rozwijać się zaczną.“ Czy obietnica ta doczeka się zaprawdę ziszczenia? Ani chwili nie myślimy występować przeciwko zamierzonemu Muzeum, chcielibyśmy tylko wskazać, co ono może dać, a czego nie. Przedewszystkiem więc dostarczy pewnych wskazówek bardziej przedsiębiorczym rzemieślnikom, którzy w walce konkurencyjnej nie mogli wystąpić z lepszym wyrobem, naturalnie jeśli prócz przedsiębiorczości mają nieco grosiwa. Reszta bez środków pieniężnych będzie spoglądała na wiele rzeczy, jak lis w bajce na winogrona, rzesza zaś mniej ruchliwa nawet nie skorzysta z Muzeum. Słowem, instytucya ta będzie może przełomową — pod względem upadku stanu rzemieślniczego, tj. wysunie naprzód majstrów-kapitalistów i rzuci w otchłań wolnego najmictwa całe gromady. Chodzi tylko o to, jak daleco oddziała Muzeum w tym kierunku, co z góry zresztą trudno przewidzieć.

Jednocześnie z podniesioną sprawą „pożytku“ Muzeum dla stanu rzemieślniczego, znany znachor leków nieskutkujących, p. Waliszewski, podał inny projekt. Rzemieślnicy nasi, czując, iż grunt drga im pod nogami, zasklepiają się w cechowości, co więcej, życzyliby sobie przywrócić dawne kwitnące czasy, kiedy dzięki organizacyi cechowej regulowali swoją liczebność oraz prawo popytu i podaży na rynku. P. Waliszewski chciałby pogodzić to ślepe przywiązanie do cechu z istnieniem wolnych rzemieślników przez przypuszczenie tych ostatnich do zgromadzeń rzemieślniczych. Jaki będzie praktyczny skutek tego pomysłu i czy w rezultacie nie otrzymamy wielkiego zera, projektodawca nie bada. Chałupa się wali, trzebają podeprzeć, chociażby słomką — oto realna treść całego wniosku. Ciekawsze jest wobec tego zachowanie się rzemiosła. Nowość tak je oburza, iż, jak ubolewa inny towarzysz znaku znachorskiego, nie chce ono nawet spokojnie obradować nad projektem. Rozumie się, wątpiąc o skuteczności leków p. Waliszewskiego, mamy na myśli możliwość ocalenia rzemiosła i stworzenia stałego spiskowania przeciwko spożywcom. Bo że wolnym majstrom należenie do zgromadzeń rzemieślniczych przyniesie istotny pożytek, nie wątpimy ani na chwilę. Gospody i urzędy stały się dzisiaj głównie miejscem, gdzie pod osłonką prawnie zatwierdzonej instytucyi wybijający się na kapitalistów majsterkowie urządzili stałe jarmarki na pracę czeladników i drobnych majstrów (np. w szewctwie). Występują solidarnie i zwarcie wobec rozproszonego i zbiedzonego mizeractwa, stwarzając istną licytacyę *in minus* na zarobki.

Niezależnie tedy do cechu wolnym majstrom odrazu daje prawo do uczestniczenia w tym jarmarku. Czy jednak samemu społeczeństwu warto stawać w obronie cechów, które stały się tylko takim kantorem taniego wynajmu? Rozbicie ich jest dzisiaj obroną istotnej pracy. Rozumie się, należałoby wyjątek uczynić dla kasy i gospody czeladniczej, które już dzisiaj są bardzo poważnym zawiązkiem korporacyi zawodowej, a pierwszym krokiem oddzielenia ich od zarządu majstrowskiego, jak to uczyniły już niektóre cechy, organizując się niezależnie, pod kontrolą magistratu. *K.*

Za kulisami handlu.

„Kantorowicz“ jest ulubioną postacią naszych pism humorystycznych i brukowych. Dawniej figurował ozdobiony zwykle nosem szczególnych kształtów, dzisiaj powoli znika wszelka cecha rasowa i pozostaje jedynie treść ekonomiczna: młodzieńca, służącego w jakiejś dziedzinie handlowej, pełnego popędów miłosnych, obdarzonego nieprzepartą chęcią przeniewierzenia się pryncypałowi i oszołomienia świata swoją naturą elegancką. Jednocześnie słychać skargi w rożnych piętrach naszego budynku finansowego i handlowego na brak odpowiednich subjektów i oficyalistów. „Po czteroletnim pobycie wychodzi ze sklepu, pasowany na rycerza czyli subjekta młodzieniec (wolno mu już wtedy nosić cylinder, binokle i laskę) i paraduje modnie ubrany, szukając odpowiedniej posady. Odpowiedniej? Czyż może mieć do tego prawo, nie mając pojęcia o towaroznawstwie, o geografii handlowej, czasami nawet wyobrażenia o buchhalteryi włoskiej.“ Słowa te wyjęliśmy z *Tygodnika kolejowego*, który świeżo podniósł niski poziom oświaty i moralności naszych młodych kupczyków. Pismo to zwala całą winę na panów kupców i ich wyuzdaną chęć eksploatowania młodzieży. „Od pewnego czasu — czytamy — rozwielmożnia się u nas zastraszająca prawdziwie mania tworzenia proletaryatu kupieckiego. Nasi kupcy, bardzo często w tem szczęśliwem nawet będący położeniu, że mogliby i powinni dawać chleb subjektom, wolą używać do pomocy rąk uczniów i praktykantów, o ich zyskanie prowadząc pewne gonitwy. Byle jaknajtaniej opędzać koszty handlowe, — to dewiza przeważnej części naszego kupiectwa. Stan taki przez kilka lat trwania wyrodził, bo wyrodzić musiał, dziwną istotnie sytuacyę — popyt na uczniów jest duży, podaż z roku na rok mniejsza.“ Dodajmy do tego obrazu kilka skądinąd znanych nam szczegółów. Kiedy w pewnych fabrykach wiek lat 50 bywa powodem, iż przedsiębiorca wypowiada służbę, to samo dzieje się w handlu około roku 20—25. Uczeń, który w ciągu wielu lat uczył się praktyki kupieckiej, polegającej na zamiataniu sklepu, zapalaniu gazu, pakowaniu towarów i grzecznem kłanianiu się publiczności, zostaje wyrzucony jak wyciśnięta cytryna. Wkrada się też inna praktyka. Znamy wypadki, gdzie brano zdolnego, wykształconego fachowo handlowca na próbę za pensyjkę 15 rs. miesięcznie, obiecując po pół roku 50—75, a kiedy nadchodziła pora dotrzymania słowa, wyrzucono go jako „niezdatnego“ i szukano innego... A wiemy, że takie postępowanie jest na porządku dziennym. W rezultacie dla całej masy subjektów i oficyalistów otrzymujemy zupełny brak wszelkiego wykształcenia zawodowego i najzupełniej zgadzamy się z autorem, który w rzeczonem piśmie podniósł sprawę wyzysku tych ludzi. Atoli musimy zaznaczyć, iż powodów ukazania się postaci kantorowicza należy szukać już gdzieindziej. Naprzód musimy zwrócić uwagę, iż najobficiej występuje ona w procederze finansowym. Czy nie jest zatem owa postać raczej w związku z samą etyką geszeftu? Gdzie zasadą rządzącą jest szwindel i gdzie każde podejście jest stale używanym fortelem, tam z biegiem czasu zatraca się pojęcie o wielu rzeczach. Że właściwości duchowe kantorowicza są owocem samego procederu i poniekąd odbiciem jego, za dowód może służyć okoliczność, iż jest on przynależnością nietylko naszego kraju.

Tygodnik kolejowy wymaga „przeprowadzenia w tej mierze gruntownej a poniekąd palącej reformy.“ Wołanie o reformę i zmianę stało się chorobą naszego czasu. Lecz przedtem należałoby przedewszystkiem wskazać jasno, kto ma ją podjąć i przy pomocy jakich środków przeprowadzić. Podobnie nasuwa się pytanie, jakimi sposobami należy zapobiedz wyzyskowi uczniów kupieckich i ich demoralizowaniu, o ile to ostatnie nie tkwi w warunkach procederu? Czy kupcy mają o tem pomyśleć i dobrowolnie wyrzec się tak dogodnego korzystania dla nich z taniej siły roboczej bez żadnych obowiązków jej kształcenia? Dość postawić sprawę w ten sposób, ażeby odpowiedź wypłynęła sama z powyżej sformułowanego pytania. Radzić kupcom dokonywanie „wyboru“ bez zmuszania ich do tego, jest to rzucać groch na ścianę w nadziei, że jednak gdzieś się on może zawiesi na prostopadłej płaszczyznie. *K.*

Jeden z dziwów.

W krótkim stosunkowo czasie Warszawa wydała na świat kilka dziwnych wypadków. Niewątpliwie należy do nich samobójstwo inżeniera Wasilewskiego. Na parę dni przed śmiercią, wsiadając z żoną i córką do dorożki, został napadnięty przez jakiegoś przechodnia, usiłującego odebrać mu dorożkę, który strzelił do niego z rewolweru. Wasilewski odtrącił broń i kula minęła go. Zaledwie rozpoczęto śledztwo, ten sam Wasilewski, który tak przytomnie obronił swoje życie, odebrał je sobie w karetce za rogatkami Belwederskiemi. Przyczyną rozpaczliwego kroku był zły stan interesów. Ce za oryginalne zdarzenie i jaki dziwny rodzaj umysłu! Człowiek, który przed kilku dniami walczył z napastnikiem i zapewne czuł się szczęśliwym, że z tej walki ocalał, ze spokojem roztrzaskuje sobie kulą głowę. Zdawałoby się, że powinien przyjąć śmierć z cudzej ręki jako dobrodziejstwo — nie prawda! Ileż to tajemnic spoczywa w tej niby znanej naturze człowieka!

Z sądu.

Głośna sprawa Kobierzyckiego, Wężyka i Jabłońskiego rozstrzygnięta została w drugiej instancyi przed warszawską Izbą sądową na korzyść oskarżonych. Mianowicie karę Wężykowi (który odpierając napaść Kobierzyckiego w Chorzenicach, postrzelił go) zmniejszono do miesiąca aresztu w twierdzy na zasadzie artykułu o ranach lekkich. Obawiamy się, ażeby ten zatarg nie przeszedł do senatu, nie powrócił znowu do Izby sądowej i nie zaczął nas raczyć swoją opowieścią obok procesu Skublińskiej. P. Kobierzycki powinien pogodzić się z myślą, że wuja swego do kryminału nie wsadzi za postrzał — i dać pokój dalszemu dochodzeniu.

KATASTROFA W PRZYBRAMIE.

Chociaż w ostatnich czasach fabryki i kopalnie były widownią strasznych nieszczęść i dramatów, wszystkie tego rodzaju wypadki zbladły wobec olbrzymiej katastrofy w Przybramie, w Czechach, gdzie kilkaset (podobno przeszło 500) górników skutkiem pożaru w podziemiach śmierć znalazło. Dotąd liczba ofiar nie jest dokładnie oznaczona, w każdym razie przerasta wszystkie dotychczas znane. Przy windzie, dobywającej trupy, rozgrywają się sceny tragiczne i zarazem bohaterskie. Oto jedna z nich, opisana przez *Hlas Naroda*. Burmistrz Sojka zawiadomił zgromadzonych nad wielkim grobem, nad

otworem kopalni, robotników, że z szybu Franciszka Józefa słychać głosy, — i wezwał, ażeby kilku spuściło się na ratunek towarzyszom. Znaczyło to—po dokonanych już doświadczeniach—zginąć niechybnie. Natychmiast 20 oświadczyło gotowość spuszczenia się. „Ale ja potrzebuję tylko trzech lub czterech“ — rzekł burmistrz. „Jedziemy wszyscy!“ — zawołali. Nareszcie zgodzili się losować między sobą. Trzej, którym przypadło to okropne zadanie, z zapałem wstąpili na windę, serdecznie pożegnani przez obcych. *Bohemia* podaje inny wypadek. Wydobyty z głębi górnik, Józef Kasz, trzymał w martwej ręce kawałek papieru, na którym napisał wyrazy: „Kochana żono, zapłać 90 złr...“ Tu przerwał, straciwszy widocznie przytomność.

Pisma czeskie zamieszczają ciągle coraz nowe i coraz okropniejsze obrazy tej tragedyi. Setki wdów, dzieci, rodziców szaleją z rozpaczy. Serdeczne współczucie dla ich boleści odezwało się wszędzie, dokąd dobiegły echa tej katastrofy. Była ona dziełem przypadku, czy niedbalstwa zarządu kopalni?

SPRAWY EKONOMICZNE.

UREGULOWANIE WALUTY.

Wiedeń, 5 czerwca.

Parlament austryacki ukończył obrady nad regulacyą waluty; wydział po kilkudniowych posiedzeniach przerwał swą czynność na czas krótki. Mamy więc chwilową pauzę, która pozwala nam rzucić okiem wstecz i objąć wzrokiem odrazu cały przebieg dotychczasowych obrad z wyższych nieco punktów widzenia, niż te, które byłyby nam dostępne podczas samej walki parlamentarnej.

Dziwne zaiste widowisko przedstawia się oczom naszym! Mamy przed sobą parlament, w którym każdy niemal członek wobec traktowanej sprawy odrębne zajmuje stanowisko — teoretycznie, a jednocześnie w praktyce wszyscy prawie, jakby tajemnym instynktem wiedzeni, zbliżają się wspólną drogą do tych samych rezultatów.

Nie mówię tu o względach taktyki parlamentarnej, które, jak z góry przypuszczać było można, postawiły Koło polskie, liberałów niemieckich i klub Hohenwarta po stronie projektów rządowych, a młodoczechów i antisemitów po stronie przeciwnej. Mówię wyłącznie o walce pojęć i przekonań, dotyczących samej kwestyi walutowej i o zgodzie ostatecznej, przygotowującej się obecnie w łonie wydziału.

Jak wiadomo, sprawa uregulowania waluty obejmuje w sobie dwie odrębne, z których każda znowu przedstawia kilka szczegółowych. Z jednej strony chodzi o zmianę stopy monetarnej. Czy ma ona być złotą, srebrną, czy też dwumetaliczną? A dalej: czy należy określić z góry, drogą ustawy, stosunek obecnej monety srebrnej do przyszłej złotej i jak wysoki? Z drugiej strony okazuje się konieczność ufundowania waluty austryackiej, tj. wycofania pieniędzy papierowych obiegiem przymusowym i pokrycia ich kruszcem. Stąd dalsze kwestye: jak wysoką trzeba zaciągnąć w tym celu pożyczkę? Czy należy oznaczyć ściśle już teraz termin, od którego mają się rozpocząć wypłaty w kruszcu?

Każda z tych dwu głównych kwestyj, biorąc je z osobna, byłaby trudną do rozwiązania. Cóż dopiero, jeśli wikłają się one między sobą i jeśli pojedyncze ich nici wiążą się znów w gęstą sieć nowych komplikacyj? Analogij historycznych, na których by się oprzeć można, brak zupełnie. Ameryka i Włochy dają nam wprawdzie przykład państw, które przeprowadziły u siebie ufundowanie waluty, ale nie miały one równocześnie do czynienia ze zmianą stopy monetarnej. Niemcy zaprowadziły u siebie zamiast monety srebrnej złotą, ale nie potrzebowały równocześnie fundować waluty papierowej. Położenie Austryi jest więc zupełnie nowe. Co do nauki monetarnej, to składa się ona z różnych teoryj wprost sobie przeciwnych. Nie mówiąc wcale o zaciętym a dotychczas nierozstrzygniętym sporze, który prowadzą oddawna między sobą zwolennicy złota, przyjaciele srebra i bimetaliści, nawet co do kwestyj drugorzędnych taka panuje sprzeczność, że jeden z wybitniejszych rzeczoznawców przyznał w ciągu ostatnich obrad parlamentarnych otwarcie, że cyfrę stosunków między monetą srebrną a złotą musi każdy obrać sobie wedle swego widzi mi się.

Nie dość jednak na tem. Chwila obecna została obraną dla przeprowadzenia reformy głównie ze względu na niebezpieczeństwo, grożące monecie austryackiej z Ameryki. Spekulanci Stanów Zjednoczonych nagromadzili u siebie olbrzymi zasób srebra, wskutek czego wartość not państwowych austryackich, wypłacalnych w tymże kruszcu, obniża się za granicą coraz bardziej i może upaść odrazu w sposób nader dotkliwy. Trzeba więc pospieszyć z ratunkiem. Ale z drugiej strony zbliża się kongres monetarny międzynarodowy, którego uchwały mogą wpłynąć stanowczo na położenie ogólne. Należałoby więc może zatrzymać się z decyzyą aż do tego czasu.

Jak widzimy, sprzeczności i zawikłań na każdym kroku pełno. To też nie dziw, że sytuacya w parlamencie austryackim pogmatwała się tak daleco, iż trudno rozeznać się w niej nawet najbardziej wytrawnemu specyaliście.

Spotykamy tu przedewszystkiem dziwny fakt, że ci sami, którzy zgodnie z rządem oświadczają się za zaprowadzeniem stopy złotej, nie kryją się bynajmniej z tem, że są z przekonania właściwie — bimetalistami. Oświadczenie takie usłyszeliśmy kilkakrotnie z ust — samego ministra finansów Steinbacha, usłyszeliśmy je od najgruntowniejszego rzeczoznawcy parlamentu, geologa Edwarda Suessa, który zresztą wystąpił przeciw złotu a za srebrem, usłyszeliśmy je od wielu innych, a w końcu na posiedzeniach wydziału od posła Szczepanowskiego. Starcie to jest jednak, jak widzimy, natury czysto teoretycznej. Wszyscy ci bimetaliści, z wyjątkiem profesora Suessa, muszą przyznać, że srebro jest w tej chwili ze względu na spekulacyę amerykańską czynnikiem zbyt niepewnym, aby mogło stanowić pewną podstawę dla stopy monetarnej.

Gdy więc na tym punkcie mimo wszelkich odstępstw i różnicy zdań pewne porozumienie zostało już osiągnięte, walka zawzięta wre dalej co do kwestyi najbliższej, mianowicie co do stosunku między obecnym guldenem srebrnym a przyszłym złotym. Wedle projektów rządowych, opartych na rezultatach statystycznych, przyszła moneta ma pozostawać względem obecnej w stosunku 119 : 100. Przeciw temu walczy przedewszystkiem w zwartych szeregach stronnictwo niemieckie pod przywództwem Plenera. Nie życzy ono sobie uprzedniego oznaczenia stosunku drogą ustawy, która wedle zdania jego byłaby gwałtem otwartym ze strony państwa przeciw jego wierzycielom, a wymaga natomiast, żeby ustosunkowanie zostało określone w swoim czasie na podstawie kursu giełdowego, jak to uczyniono ongi w Niemczech. Zapatrywania te zostały przed kilku dniami po raz drugi przez Plenera streszczone na posiedzeniach wydziału w sposób nader stanowczy.

Obok tych, którzy nie chcą wogóle ustosunkowania poprzednio oznaczonego, mamy takich, którzy chcą je mieć wyższe albo niższe. Między pierwszymi najskrajniejsze stanowisko zajmuje poseł Neuwirth, który wymaga, ażeby gulden złoty równał się 2 markom. Między zwolennikami oszacowania niższego panuje zupełna różnica motywów. Jedni boją się cyfry 119 dlatego, że pokrzywdziłaby ona zbyt dotkliwie urzędników państwowych i wszystkie osoby pobierające płace stałe. To nie ulega wątpliwości, ale, jak odpowiedziano trafnie, jest na to rada: państwo potrzebowałoby tylko podwyższyć odpowiednio płace swych urzędników. Inni znów, a między nimi Plener i jego stronnictwo, nie chcą oszacowania tak wysokiego, gdyż uważają w takim razie za pokrzywdzonych wierzycieli państwowych. Tym odpowiedzieli znów w wydziale posłowie Jax, Schunlje, Piniński i inni, że przeciwnie państwo zachowuje się wobec wierzycieli swych nader wspaniałomyślnie, gdyż mogąc uiszczać wypłaty swe w srebrze, zapłaci im złotem. Są wreszcie i tacy, którzy żądają niższej cyfry relacyjnej ze względu na pewne warstwy społeczne lub na pewne gałęzie produkcyi. Ale tu sprzeczności są już tak rażące, że pod temi samemi hasłami odzywają się co chwila wprost przeciwne wymagania.

Wszystkie te walki dotyczą zmiany stopy monetarnej. Co do drugiej kwestyi głównej, tj. ufundowania waluty papierowej, panuje w zasadzie wzruszająca jednomyślność. Nikt nie wątpi np. o tem, że w razie niebezpieczeństwa wojennego państwo obciążone kilkuset milionami papierowymi byłoby wprost sparaliżowane. To też z wyjątkiem antisemitów, w których imieniu oświadczył Lueger, że „uważa gulden papierowy jako dowód potęgi monarchii austryackiej,“ i z wyjątkiem młodo-czechów, którzy nie chcą nowej monety dlatego, że nie nosiłaby około wizerunku cesarskiego napisu „Rex Bohemiae“ — z wyjątkiem obu tych stronnictw wszystkie inne oświadczyły się za uregulowaniem waluty papierowej.

Ale postąpmy o krok dalej, a znajdziemy się znów na polu bitwy. Czy należy oznaczyć z góry termin, któryby zobowiązywał państwo do rozpoczęcia wypłat w złocie? Wedle zdania rzeczoznawców, krok taki byłby wysoce nieroztropny. Nie bowiem nie daje państwu rękojmi, że potrafi ono rzeczywiście do pewnego czasu zaopatrzyć się w potrzebną ilość złota i czy zdoła nabyć ją po cenie przystępnej. Wprawdzie ankieta walutowa, zwołana swego czasu, wyraziła pod tym względem przekonania bardzo optymistyczne, ale należy uwzględnić, że między jej członkami znajdowali się liczni przedstawiciele domów bankowych, którzy w ten sposób chcieli polecić usługi swe państwu w razie potrzeby. Przeważna część głosów zaczyna się tedy skłaniać w kierunku największej ostrożności. Zwrot ten zaznaczył się wyraźnie na ostatniem posiedzeniu wydziału walutowego. Plener i stronnicy jego, którzy dotychczas popierali dość niedwuznacznie żądanie ściśle określonego terminu wypłat, po polemice zaciętej zaczynają dokonywać odwrotu.

Widzimy więc, jak z pierwotnego chaosu zdań zaczynają wyłaniać się zwolna główne zarysy wielkiej reformy monetarnej o skutkach tak doniosłych dla życia ekonomicznego Austryi. A jeśli przypomnimy sobie, ile razy dotychczas w ciągu obrad tych padły z ust poważnych słowa, że skutki te są obecnie nieobliczalne, że są one tajemnicą dla każdego, ile razy usłyszeliśmy poglądy wprost przeciwne, wygłaszane równie stanowczo przez powagi równie wybitne, rezultat ten ostateczny przejmie nas głębokiem zdziwieniem.

S—l.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Magazyny tranzytowe. Na ostatniem posiedzeniu sekcyi handlowej Towarzystwa popierania przemysłu i handlu zebrani przyjęli wniosek p. B. Wernera, aby wystąpić do władzy z projektem reorganizacyi magazynów tranzytowych przy dr. żel. Warszawsko-Terespolskiej, a mianowicie: 1) aby zniżono w nich dopłatę od

składanego zboża, 2) aby delegat komitetu giełdowego mógł zasiadać na obradach w interesach tych magazynów, 3) aby przywilej tranzytu był nadawany magazynom zbożowym, zakładanym na wszelkich stacyach kolejowych, oraz będącym własnością korporacyj, 4) aby zarząd magazynów wydawał poświadczenia o wadze towarów magazynowych, według porządku złożonych deklaracyj, wreszcie 5) aby doraźne szopy magazynowe na dr. żel. Terespolskiej zastąpić trwalszemi, bardziej zabezpieczającemi zboże. Chwilę obecną p. Werner uważa za stosowną do wystąpienia z powyższem podaniem do rządu, gdyż magazyny pomienione, istniejące od r. 1883, razem z dr. żel. Terespolską właśnie teraz przechodzą na własność rządu. Nadto p. Werner doradzał, aby kupcy warszawscy kupili magazyny bankowe przy ul. Nowogrodzkiej i przekształcili je na tranzytowe.

— W Mińsku gub. ma powstać oddział ziemskiego Banku wileńskiego. Wogóle Mińsk pod względem ilości instytucyj tego rodzaju przewyższa inne miasta gubernij północno-zachodnich, posiada bowiem oddział Banku państwa, Towarzystwo wzajemnego kredytu, bank handlowy, oddział Banku włościańskiego, filię banku azowskiego, moskiewskiego i innych.

— Dnia 4-go b. m., jak donosi *Nowoje Wremia*, odbyło się posiedzenie komisyi zbożowej pod przewodnictwem członka rady państwa A. Abazy, z udziałem ministra spraw wewnętrznych, oraz zarządzającego ministeryum skarbu, D. Kobeki. Komisya prawie jednogłośnie uznała możność, a nawet konieczność zezwolenia na wywóz za granicę owsa, jęczmienia i pszenicy. Opinia jej ma być przesłana do odpowiedniego zatwierdzenia.

— Celem kontrolowania czynności towarzystw akcyjnych, ministeryum skarbu, jak donosi *Russkaja Žizń*, ma delegować swoich urzędników do komisyj rewizyjnych.

— Podczas układania projektu nowego prawa o bankructwach, postanowiono, aby na przyszłość do syndyków upadłości należało tylko wyświetlenie sprawy, i to najdłużej w ciągu jednego roku, układy zaś z wierzycielami będą przeprowadzały instytucye sądowe.

— W Towarzystwie kredytowem m. Warszawy dnia 2-go b. m. ukończono losowanie listów zastawnych. Ogółem wylosowano 1,508 sztuk na sumę 703,400 rs.

Z rynku.

Targi warszawskie. Dnia 7 czerwca w magazynach tranzytowych przy st. Praga Terespolska zapasy wynosiły: pszenicy 91 wagonów, żyta 57, owsa 165, jęczmienia 90, gryki 6, grochu 18, fasoli 25, kukurydzy 24, mąki żytniej 19, pszennej 10, mąki z kukurydzy 4, kaszy jaglanej 284, gryczanej 10, ryżu 4, mąki kartoflanej 16, łoju 7, cukru 1, cebuli 1. Ogółem 832 wagony.

— Na placu Witkowskiego, 8 czerwca. Z dostawą do składu kupującego za korzec: pszenica pstra i dobra 765—780, biała 830, wyborowa 850; żyto wyborowe 232 f. 630—650; owies 142 f. 285—345. Dowóz wynosił 600 pszenicy, 150 żyta, 100 owsa. Dokonano tranzakcyj: 352 kor. pszenicy po 765 do 850.

— Targ na Pradze, 7-go czerwca. Dowóz wynosił 7 wagonów owsa i po jednym żyta, gryki, jęczmienia i kaszy jaglanej. Żyto wyborowe 114—116 kop., średnie 110—113, ordynaryjne 106—108; owies wyborowy 93—95, średni 84—91, ordynaryjny 73—82; gryka 70—90; kasza jaglana 125—145; kukurydza 75—77.

Łódź, 8 czerwca. Popyt na targach zbożowych słaby. Od piątku sprzedano na st. towarowej: 200 kor. pszenicy po 820—840, grochu 100 po 850, owsa 2,500 po 310—335, kartofli 1 wagon po 3 rs. Na starym rynku sprzedano 7-go czerwca 300 korcy pszenicy po 810—850 k. Siano za centnar 100—110, słoma 85—90, koniczyna 130—140.

Cukier. W ubiegłym tygodniu poszukiwanie mączki wznowiło się; zapłacono za kilkanaście wagonów po $282^1/_2$ za 24 f. pierwszorzędnych marek, a za gorsze od 280 kop. Zapasy mączki są wyczerpane, przy większem tedy zapotrzebowaniu wobec urodzaju owoców, mączka może dojść do wysokiej ceny; wpłynie to i na ceny rafinady.

Wełna. Na placu jarmarcznym w Warszawie wszystkie stajnie i klatki już są wynajęte; wielu handlującym pomieszczenia z tego powodu odmówiono.

Ceny okowity. Warszawa, 8 czerwca. Brutto z potrąceniem 2%: hurtowa w. 100^0—11,34. w. 78^0—$8,84^5$, szynkowa w. 100^0—11,49, w. 78^0—8,96. Netto bez potrącenia: hurtowa w. 100^0—11,12, w. 78^0—$8,67^4$; szynkowa w. 100^0 -11,27, w. 78^0—8,79. W ubiegłym tygodniu ruch był słaby. Cena regulacyjna w Hamburgu $26^7/_8$ marek.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Regulowanie służebności. *Goniec urzędowy* ogłasza:

Rada państwa w połączonych departamentach praw i ekonomii państwowej, oraz na zebraniu ogólnem, rozpatrzywszy wniosek ministra spraw wewnętrznych o sposobie zawierania i poświadczania umów dobrowolnych, dotyczących uregulowania służebności włościańskich w kraju Zachodnim, uchwaliła:

„W zamian i w uzupełnieniu odpowiednich przepisów, postanowić:

1) W guberniach: kijowskiej, podolskiej, wołyńskiej, wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej i mińskiej, oraz w powiatach inflanckich gub. witebskiej umowy dobrowolne, dotyczące zniesienia wspólnych pastwisk (na ścierniskach), oraz nadanych włościanom służebności na gruntach dworskich, a uadto o koniecznych w takich razach zamianach gruntów użytkowych, mają być zawierane na podstawie uchwały co najmniej $^2/_3$ włościan, posiadających prawo głosu na zebraniu gromadzkiem.

2) Umowy wskazane w art. I winny być poświadczone podług przepisów wskazanych w art. 85 i 86 ustawy dla gubernialnych i powiatowych instytucyj włościańskich, oraz w uwadze I-ej do ostatniego z tych artykułów, podług dopełnień z r. 1890.

3) Za grunta, odchodzące od poszczególnych włościan na podstawie umów powyższych (art. 1), oraz za straty lub wydatki, mogące wyniknąć z powodu przeniesienia budowli gospodarskich w inne miejsca, ciż właściciele osad pojedynczych otrzymują stosowne wynagrodzenie od gromady."

KRONIKA.

Podatek od dochodu. Z powodu obrad komisyi, utworzonej przy ministeryum skarbu w sprawie zaprowadzenia podatku dochodowego, dzienniki petersburskie czynią różne uwagi. *Nowoje Wremia* donosi, że komisya przyszła do rezultatów ujemnych, gdyż zaprowadzenie nowego podatku nie może być owocne, albowiem funkcye podatkowe państwa są już doprowadzone do największego naprężenia. Może być mowa tylko o reformie, w której podatek dochodowy zastąpiłby wiele innych opłat, obecnie obciążających różne sfery społeczne. *Nowosti* przypominają, że jeszcze w jesieni r. z., gdy zaczęto mówić i pisać o zaprowadzeniu podatku dochodowego, nie rokowały powodzenia temu projektowi. Ustanawianie nowych podatków lub powiększanie istniejących nie jest odpowiednie teraz, gdy kraj przechodzi przesilenie ekonomiczne wskutek nieurodzaju i małych postępów rolnictwa. Skoro trzeba dawać odroczenia w opłacie istniejących podatków, trudno przypuścić, aby można było wyegzekwować nowe; wprowadzenie nowego podatku wywołałoby niedobór w innych gałęziach dochodów państwa. Minister skarbu — piszą *Nowosti* — rozumie to dobrze i uczynił odpowiednią uwagę przy preliminarzu budżetowym na r. b. Dopiero po poprawieniu się stanu ekonomicznego można będzie pomyśleć o ogólnej reformie podatkowej; ale wtedy dochody państwa zwiększą się same przez się wskutek obfitszego napływu opłat bezpośrednich, zależnych od ogólnego dobrobytu. W pierwszych dwóch miesiącach r. b. okazał się niedobór 5,000,000 rs. w dziale podatku od trunków, gdy w latach pomyślnych podatek ten stale wzrastał. „Przed dwudziestu laty — piszą dalej *Nowosti* — projekt podatku dochodowego należał do kwestyj modnych, do cyklu reform liberalnych. Oświadczały się za nim i prasa i ziemstwa. Był też rozpatrywany w komisyi specyalnej pod przewodnictwem hr. Wałujewa i uchylony, jak mówiono wówczas: ze względów natury politycznej. Od tego czasu wiele wody upłynęło... Opłata poduszna i akcyza od soli są zniesione; ustanowiono natomiast cały szereg innych podatków od majętnych klas ludności, jak podatki od nieruchomości, spadków, kapitałów, zakładów przemysłowych. Wszystkie rodzaje dochodów są opodatkowane w ten lub inny sposób. Pozostaje chyba tylko podatek od pensyj urzędniczych i od zarobków, płynących z zajęć wyzwolonych. Taki podatek dochodowy byłby podatkiem od pracy umysłowej, gdyż wszyscy urzędnicy, lekarze, adwokaci i tak już płacą różne podatki i opłaty, jeśli posiadają kapitały, nieruchomości, fabryki itp. Ustanowienie zaś opłaty od pracy umysłowej nie ma chyba nic wspólnego z kwestyą podatku dochodowego."

Sprawy społeczne. Kazańskie ziemstwo gubernialne, jak donosi *Russkaja Žizń*, starało się o zamknięcie na pół roku wszystkich szynków w gubernii, ze względu na nędzę ludu. Władze dały odpowiedź odmowną.

— Z powodu braku kandydatów do dzierżawy propinacyj na gruntach włościańskich, skarbowych itp. w gub. łomżyńskiej, skarb nie miał z wielu karczem żadnego dochodu za pierwsze półrocze r. b. i do powtórnej licytacyi zniżył ceny dzierżawne do połowy. W r. z. zamknął lub sprzedał 118 karczem, zupełnie opuszczonych przez szynkarzy. Wiele karczem zamknięto też w gub. suwalskiej.

— Dnia 2-go b. m. ukończono sprawdzanie stanu zdrowia dziewcząt, zakwalifikowanych do kolonij letnich; ogółem wyjedzie na wieś 497 dziewcząt, a do Ciechocinka 83.

— Starszy urzędu warszawskiego zgromadzenia kowali doniósł prezydentowi miasta, iż kilku podmajstrzych w imieniu wszystkich czeladników zażądało zmniejszenia ilości godzin pracy dziennej do 10-u.

— W Serbii trwa bezrobocie pasztetników, a w Libercu w Czechach — szklarzy.

— Z pow. ciechanowskiego gub. płockiej wyemigrowało w kwietniu r. b. 30 osób przeważnie z gmin Nużewo, Zalesie, Regimin i Ojrzeń.

— Minister dóbr państwa uda się wkrótce na zwiedzenie kolonij rolniczych żydowskich w gub. chersońskiej i besarabskiej.

— Towarzystwo dobroczynności w Radomiu urządza kolonię leczniczą dla słabowitych dzieci w Solcu.

Szkoły. Opłatę szkolną w I gimnazyum męzkiem w Warszawie podwyższono na rok szkolny 1892/3 do 50 rs., a w V gimnazyum do 60 rs.

— Przy szkole rzemieślniczej w Łodzi mają być otworzone oddziały farbierski i tkacki.

— Na kursa farmaceutyczne przy uniwersytecie warszawskim, poczynając od przyszłego roku szkolnego, będą przyjmowani tylko tacy pomocnicy aptekarscy, którzy odbyli praktykę trzyletnią w aptekach.

— Na kursa Instytutu gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi będą przyjmowani w r. p. kandydaci, którzy ukończyli średnie zakłady naukowe, po zdaniu egzaminu konkursowego w Instytucie z geometryi, algebry, trygonometryi, fizyki i języka ruskiego, według programu gimnazyalnego. Od tych egzaminów będą wolni kandydaci, którzy ukończyli wyższe zakłady naukowe.

— Kilka właścicielek zakładów freblowskich wniosło prośbę do władzy o pozwolenie, aby mogły być przyjmowane dzieci do 9-u lat wieku.

Zdrowie publiczne. W Ameryce powstaje międzynarodowy związek sanitarny, w celu natychmiastowego zawiadamiania o zjawianiu się chorób epidemicznych i zapobiegania ich szerzeniu się. Do związku przystąpiły już Stany Zjednoczone, Kanada i Meksyk.

— W Paryżu ma się odbyć zjazd robotników, który zajmie się głównie hygieną klasy roboczej, a mianowicie pożywienia, mieszkań i warsztatów.

— Wszystkie gminy pow. warszawskiego otrzymały limfę do szczepienia ospy dzieciom. Szczepienie odbywa się bezpłatnie, raz na tydzień.

Sprawy kolejowe. Od Święcian przez Postawy, Głębokie, Łażki i Dzisnę do st. Borkowicze dr. żel. Dynabursko-Witebskiej ma być wybudowana kolej dojazdowa na przestrzeni 208 wiorst. Inna bocznica kolejowa ma przejść przez Lepel i Sienno do Orszy, st. dr. żel. Moskiewsko-Brzeskiej.

— Wykup dr. żel. Terespolskiej nastąpi urzędownie dnia 13-go b. m.

— Zarząd dr. żel. Nadwiślańskiej otwiera na sezon letni przystanek w miejscowości Świder, pomiędzy Wawrem a Otwockiem.

— Za pierwsze dwa miesiące r. b. drogi żel. w Królestwie Polskiem miały następujące dochody: W.-Wiedeńska 1,554,079 rs. (więcej niż w r. z. o 1,8%), W.-Terespolska do Brześcia 355,519 rs. (więcej o 3,1%), Dąbrowska 450,416 rs. (więcej o 18,7%), Fabryczno-Łódz-

ka 157.522 rs. (więcej o 6,9%), Nadwiślańska 716,087 rs. (mniej o 1,9%).

— Na przestrzeni od Wilna do Białegostoku buduje się drugi tor kolejowy dr. żel. Petersburskiej i jeszcze w r. b. ma być doprowadzony do Małkini, czyli do nowej kolei Nadnarwiańskiej.

— Według ostatecznego postanowienia ministeryum komunikacyi, normalna szybkość biegu pociągów na tutejszych kolejach w czasie letniego rozkładu oznaczona została dla kuryerskich 55 wiorst, pośpiesznych 50, osobowych i letnich 45, osobowo-towarowych 35 i towarowych 30 wiorst na godzinę.

— Według zapewnień *Kuryera codz.*, budowa linii oddziału Aleksandrowskiego kolei Wiedeńskiej do Wisły, będzie postanowiona na korzyść Nieszawy. Projektu przeprowadzenia tej odnogi od Włocławka zaniechano ze względów technicznych i handlowych. Linia od Nieszawy do Wisły wyniesie sześć wiorst, a koszt budowy 180,000 rs.

— W zarządzie kolei Południowo-Zachodnich postanowiono przeprowadzić następujące drogi dojazdowe: od stacyi Browki do Żytomierza i Korostyszowa, od Kalinówki do Chmielnika i Uladówki, od miasteczka Kamionki (miejsce lecznicze kąpielowe i winogronowe) do najbliższej stacyi. Nadto nakreślono plan zbudowania kolei od Kiszyniewa do wsi Gonczeszty: przedłużenia bocznicy Radziwiłłowskiej od Kamienicy do Krzemieńczuka i od stacyi Łorgi do Kamieńca Podolskiego.

Komunikacye. Wyszedł Imienny Ukaz Najwyższy, zezwalający na budowę szos: 1) od szosy lubelskiej przy wsi Moszczanki w gub. lubelskiej, przez osadę Kock do m. Radzynia w gub. siedleckiej, i 2) od m. Parczewa przez osady Wysznice i Sławatycze w gub. Grodzieńskiej. W tym celu nastąpi wywłaszczenie potrzebnych gruntów na zasadzie ogólnych przepisów państwowych.

— Dn. 22 b. m. otwarto komunikacyę tramwajową w Mińsku gubernialnym. Głównym twórcą tramwajów mińskich jest inż. Lachowski.

Rzemiosła w więzieniach. Naczelnik głównego zarządu więzień r. t. Gałkin-Wraskij, jak donosi *Warsz. Dniew.*, przy zwiedzaniu warszawskiego więzienia karnego i oddziału czasowego, zauważył, że prawie wszystkie rzemiosła zaprowadzone w tych zakładach, oddane są w ręce prywatnych przedsiębiorców, prawie wyłącznie żydów, którzy korzystają za opłatą ogólną z całej siły roboczej aresztantów. Odbija się to szkodliwie pod względem konkurencyjnym na wolnej pracy, a nadto dopuszczanie przedsiębiorców do cel więziennych jest nader niepożądane. Przedewszystkiem ma się tam odbywać wyrób przedmiotów na potrzeby więzień i tylko nadmiar siły roboczej aresztantów może być zużywany po za ich obrębem. W więzieniu zaprowadzić należy np. warsztaty tkackie; płótna zaś, po zaspokojeniu potrzeb miejscowych mogłaby zużytkować intendentura. Wreszcie więzienie może otrzymywać zamówienia od innych władz rządowych, obszywać straż ziemską, policyę, straż ogniową i robić obuwie. Dla zwiększenia odbytu, a więc i dla rozszerzenia produkcyi, należy zawiązać stosunki z dowódcami pułków i odwoływać się do współdziałania wyższej zwierzchności wojskowej. Wogóle trzeba do tego dążyć, ażeby więzienie, o ile to możliwe, zaspokajało samo wszystkie swoje potrzeby, bez uciekania się do obcych. Artykuły spożywcze powinny być dostarczane w sposób gospodarczy, nie zaś przez przedsiębiorców dostawców. W tym celu więzienia powinny mieć swoje młyny i piekarnie.

Zjazdy. W jesieni ma się odbyć zjazd owczarzy w celu uporządkowania handlu wełną na rynkach zagranicznych oraz polepszenia warunków strzyży owiec.

— Na tegoroczny zjazd gorzelników w Moskwie zapisało się już przeszło 100 uczestników; większa ich część pochodzi z Królestwa Polskiego i gubernij nadbałtyckich. Zjazd ma się odbyć dnia 26-go b. m.

— We Lwowie odbył się zjazd lekarzy powiatowych, na którym roztrząsano sprawy hygieny i stanu lekarskiego. Dr. Cassina podniósł konieczność utworzenia państwowego zakładu produkcyi krowianki i przymusowego szczepienia dwukrotnego. Protomedyk Merunowicz przemawiał za pomnożeniem szpitali prowincyonalnych, wykazując, iż w Galicyi na 6,600 ludności istnieje tylko 72 szpitalów (4,257 łóżek). W zjeździe przyjęło udział 60 lekarzy.

Pomnik. W Krakowie utworzył się komitet w celu wzniesienia pomnika Oskarowi Kolbergowi, znakomitemu etnografowi.

Dymisye. Jak donoszą *Nowosti*, gen.-maj. Palicyn podał się do dymisyi ze stanowiska prezesa dyrekcyi teatrów warszawskich.

Zawieszenie wydawnictwa. Rozporządzeniem z dnia 1-go b. m., minister spraw wewnętrznych zawiesił wydawnictwo *Gazety radomskiej* na 8 miesięcy.

Wypadki. Dnia 2-go b. m. wskutek burzy i przyboru wody w Dźwinie, znaczna ilość spławianego budulcu, umocowanego u brzegu ryzkiego, zerwała się z uwięzi i popłynęła z brzegiem rzeki, pokrywając Dźwinę belkami na przestrzeni $1^1/_2$ wiorsty. Straty stąd wynikły ogromne.

Pożary. W pow. humańskim gub. kijowskiej zgorzało niemal całkowicie miasteczko Talne.

— Folwark Psary w powiecie płockim spalił się ze wszystkiemi zabudowaniami. Straty wynoszą około 15,000 rs.

— Dnia 29-go z. m. spłonęło przedmieście Kowna, Słobódka; zgorzało około 300 budynków; klęska dotknęła przeważnie rzemieślników i wyrobników.

— Dnia 30-go z. m. spaliła się cukrownia Wł. hr. Branickiego w Sieniawie, w pow. wasylkowskim gub. kijowskiej.

Bibliografia. T. Ribot, *Filozofia Schopenhauera*, tłom. J. K. Potocki, str. 168, Warszawa.

— A. Herzen, *Zarys psycho-fizyologii ogólnej*, tłom. A. Zassowski, str. 139, Warszawa.

— H. Ibsen, *Wróg ludu*, dramat, tłom. H. B., str. 199, Warszawa.

— A. Kielland, *Trucizna*, powieść, tłom. C. P. str. 205, Warszawa.

— W. Jelski, *Łużyce*, wrażenia z podróży, str. 76, Warszawa. (Powyższe książki wyszły nakładem *Głosu*).

— A. Zadora, *Z teki nowicyusza: Małżeństwo z Miłości* i *Zgaszona pochodnia*, str. 68, Warszawa, Sennewald.

— W. Lutosławski, *O logice Platona* część, II, str. 60, Warszawa.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

M. A. R. K. Utwory Pańskie są w pomysłach tak niejasne, że każdy możnaby zatytułować znakiem zapytania. Nadto forma ich brulionowa, nieopracowana, złożona z rzutów pospiesznych; są to raczej notatki wystarczające i zrozumiałe jedynie dla autora.

Turyst. w Radoms. Nie mogliśmy wynaleźć dla Panów ani stosownej książki, ani też mapy, bo nie ma. Ponieważ zaś tu dla braku miejsca musielibyśmy ograniczyć się do suchego wyliczenia miejsc uwagi godnych, więc radzimy zaczerpnąć wskazówki z *Geografii* Krynickiego, gdzie Panowie znajdziecie odpowiednie objaśnienia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29 Дозволено Цензурою, Варшава 29 Мая 1892 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.